STRONA CZYTANA

NUMER 11/2022

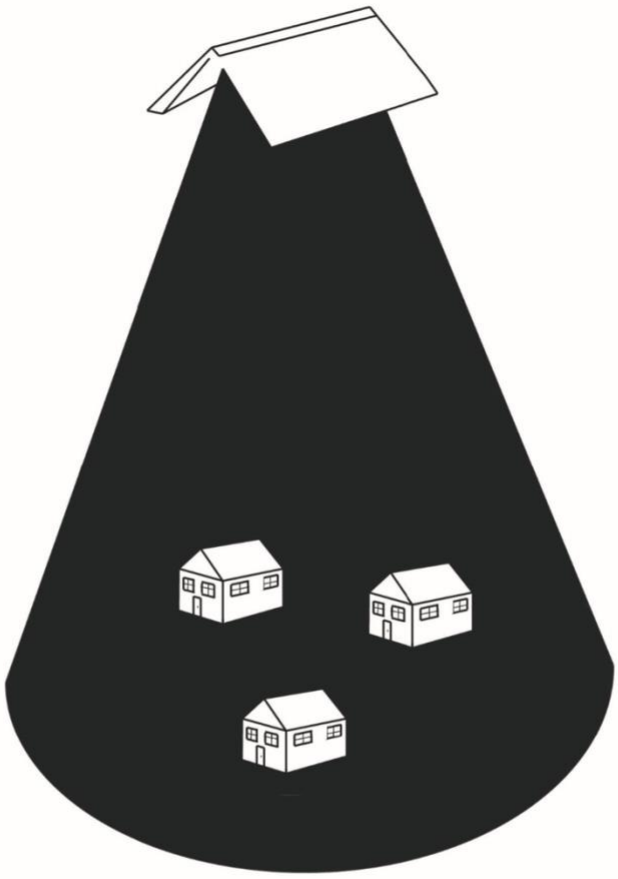

STRONA CZYTANA

Redakcja:
Piotr Borkowicz, Agnieszka Budnik,
Kamil Galus, Patrycja Sikora, Natalka Suszczyńska

Korekta: zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Krzysztof Schodowski
Logo: Jakub Pszoniak

Spis treści

WSTĘP **4**

POEZJA **5**

Bednarski 6
Czerwiński 9
Dwojnych 14
Korlacki 17
Kasprzak & Sajkowski 22
Łępicka 25
Postovit tłum. Zofia Bałdyga 29
Szczepański 35
Wewior 37

PROZA **41**

Domagalski 42
Król 46
Sinica 51
Żyminkowska 56

KRYTYKA **63**

Budnik 64
Marszałek 68

ROZMOWY NA STRONIE: *Giętkie cząstki techno i grudki ziemi*. Rozmowa Patrycji Sikory z Martą Szumną-Mitek i Kamilem Kawalcem **74**

STRONA WOLNA **79**

Błaszków 80

WSTĘP

Przeżuwamy mokre listki, wypluwamy ogonki, ślizgamy się po szronie. Kapie z nadgarstków – osoby autorskie podsuwają menażki.

Redakcja Strony Czynnej

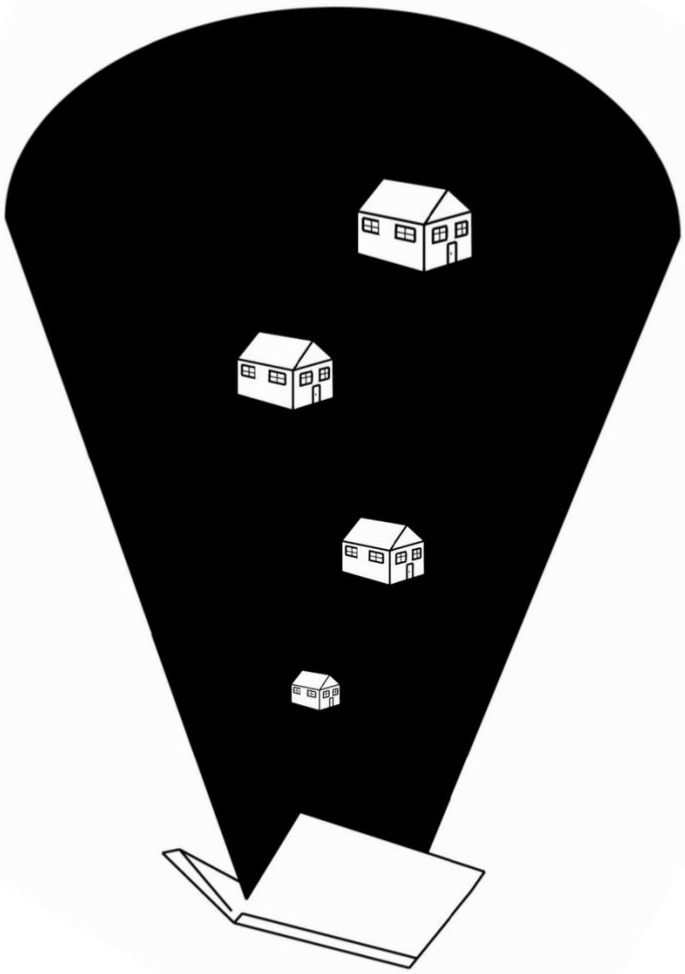

POEZJA

Maciek Bednarski

rocznik ’93, pisze doktorat z filozofii, pracuje w adtechu, publikował prozę i poezję w „Wizjach”, „Stonerze Polskim”, „Helikopterze” i „Tlenie Literackim”.

Etyk z Wall Street

Zrobiłem rachunek sumienia
i nie stać mnie na refleksję
na kredyt nie mam zdolności
za darmo główkować nie będę

więc kiedy przyjdzie zapłacić
najpewniej ogłoszę upadłość
zacznę znów z czystym kontem
nie oddam bankowi zadość

Białasy na księżycu od 53 lat (it goes it goes)

Pani Maria ma dychę dziennie na życie
A Branson jest na wysokiej orbicie

Dzieci w szkołach uczą (się) jak dokopać (się) w życiu
A Bezos jest w bazie na Księżycu

Ludzie rodzą się z rakiem i długiem na starcie
A Musk jest z rakietą na Marsie

I chociaż sięgają coraz dalej i dalej
To tu na dole jest coraz ciaśniej i ciaśniej
I może nie byłoby jeszcze tak strasznie
Gdyby się kończyło na bogatym białasie

I co ze mnie za białas na raty, na żarty
Minimalnie powyżej lub grubo pod kreską
Co mi po białasach na Księżycu
Co mi po białasach w CGI i w MTV
Te nasze białasy, bluzy-kangury
piernik vs. wiatrak i jesień średniowiecza
koniec transcendencji blokowisk
na antypodach kwadratów robią hop do potęgi
Ale kosmos przed nimi zamknięty
To już nie te białasy co kiedyś

Kajetan Czerwiński

ur. 2001 student filologii polskiej i filozofii w ramach MISH UW. Poeta prozaik, publikowany w „Stronie Czynnej", „Tlenie Literackim", „Kontencie" i „Magazynie Składka". Pracuje obecnie nad zbiorem wierszy pt. *Omuchawie*.

supozycja 1

pierwsze spotkanie z Tobą pamiętam
jakbym spisał je niedługo po naszym ostatnim
wrzesień tuż przed studiami miałeś

zdezelowany kapelusz z bażancim piórem
stąd ksywka nie będąca x niczego dopóki
nie zasupłałem jej jak ust skończyliśmy

na pawixach gdzie przy Pokoleniu kombi
czytałeś dwadzieścia stron swojej prozy
i chciałbym nie wzdychać bo każdy oddech

jest na wagę pierza kiedy masz dwadzieścia lat
i ciągniesz fajki jakby nie było jutro
semiotyki a cudzysłów nadal był niezdjęty

semiotyka

zd. i

jeśli bażant nie żyje bażant nie ma desygnatu

zd. ii

jeśli Go kocham relacja jest niepełna

zd. iii

lub do definicji należy dodać w czasie t1

zd. iv

N = {1, 2, 3, 4…}

kinky

on się myje szumi prysznic a ja czekam
wyciągnięty na łóżku gdzie będzie nam
dobrze zwiąże mnie obejrzymy serial

za oknem czarnym jak lateks umiera bezdomny
ale ja nie o tym (wciąż jest nieruchomy
więc myślę o Tobie łączę te dwie kropki

czekając aż mój chłopak wróci albo aż zamarzną
mi stopy kiedy będę szedł przez ten kokytos)
w końcu wraca jest dobrze serial też w porządku

bo nawet kiedy w nim i nawet gdy Ty we mnie
zasłonięty-ale-odsłonięty nie chcę wracać
nie-tu (taki fetysz jak kiedy brakuje Ci tlenu)

i szukać po omacku spodni na myśl o tym
że zatyczki analne wkłada się zmarłym
bo szczerze? to było pretty fucking hot

supozycja 2

ale muszę później widzieliśmy się kilka razy
bo założyłeś online grupę dla poetów ze studiów
(teraz jest nieaktywna o tym myślałem pisząc

Sheut dzisiaj znów go piszę) była pandemia
i w kilka osób piliśmy szprycer z tanich szklanek
a Tobie źle weszło choć to prawie woda

dwa lata później wciąż czuję go w ustach
i żal mi tylko że nic więcej tyle samo
ile czułem w Twoim foreshadowingu czyli

że to peryfrastyczne że to oklepane i faktycznie
to jest najbardziej oklepane z zakończeń
ciekawa koda byłaby tu oznaką talentu

Anna Dwojnych

urodzona w 1988 r. poetka, absolwentka socjologii i filozofii UMK. Autorka dwóch książek poetyckich, dwukrotna finalistka projektów Biura Literackiego. Mieszka w Warszawie, Płocku i Toruniu.

Z drugiej strony

tamten dom już nie jest już moim
domem. (nie jest tamtym domem?)
co za zwierzę ukrywa się za ciemną
roletą, albo pytać: czyje? kto wyglądał
przez okno teraz w nie zagląda z dwóch pięter wyżej
drzwi do budynku są mniejsze, lżejsze. mówienie
och tak jak orgazm, mówienie to nie, jak w zdarzeniu
to gwałt, słowa, które wychodziły z domu
w ciemną noc szorstką jak szczecina
słyszę równie wyraźnie jak za tamtą szybą.

***

binokle, np. butelki po winach (a może: obiektywy?)
rejestracja kudłatych alpak, mięciutki schemacik
sweter z Zary. zatkaj butelkę językiem, zatkaj
dziurę i wieżę Babel (świat nie wierzy łzom)
i te zwierzęta w obiektywie, naprawdę stado
naprawdę miłe. człapię między pojęciami.

Adrian Korlacki

Urodzony w 1989 r. w Jaworznie. Autor wierszy, fotograf. Laureat kilku konkursów literackich w tym zdobywca pierwszego miejsca w XXX OKP im. Rafała Wojaczka w Mikołowie i VI OKP im. Zygmunta Krukowskiego w Nowej Rudzie. Publikował m.in. w internetowym „Helikopterze", na stronie Wydawnictwa J, w „Kontencie", „Poezji Dzisiaj", a także w antologiach pokonkursowych i w prasie lokalnej. Mieszka w Nowej Hucie.

szron to pamięć krótkiej zimy/czasy krótkie

pieczątka zlizana jak srebro z nadgarstka
odbitka jak drżenie światła szron to pamiątka po krótkiej zimie

pod śniegiem mieszkamy od wielu lat układamy się
w linie liżąc swoje łokcie lśniące jak drżenie światła

lśniące jak drżenie świata

są noce krótkie jak sierpnie polskiego lata lub wycinki z kolorowych gazet

ta noc wciąż jeszcze pachnie jak kiosk ruchu (twoim weekendem gumą balonową i szamponem dla psa)

powietrze przechodzi przez czas wilgotną miętówką w zagłębieniu dłoni
oczy zwierząt obliżą nas z barw

języki Rdestu Śmierci i Lukrecji

luksografia: dinozaury są z plastiku a plastik jest z dinozaurów i teraz wszystkie one tańczą i tańczą po kres naszych dni

moje myśli wyginą jak dinozaury z plastiku
twoje myśli wyginą jak dinozaury z plastiku

(lecz wielki wybuch twoich myśli otuli nas jak cukrowa wata i będzie mi raźniej w rękawiczkach twoich myśli o końcu i czy przy końcu świata)

przykry jest popiół który przykryje nam świat
wyginiemy jak nasze myśli o sobie jak dinozaury z plastiku

jak myśli o sobie jak przykry świat

wszystko one przychodzi w noc

w nocy jak spóźniony autobus. w parku ratuszowym
zadaję ci język. grudzień jest zewsząd szeroki na dnie moich wód (wszystko to
to czas)

oniemiałem i
onieśmielił mi się język

Aleksandra Kasprzak

absolwentka filologii rosyjskiej i sztuki pisania na UAM. Poetka, slamerka, plakaciara. Zdobywczyni głównej nagrody w XXIX Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Dionizego Maliszewskiego w 2021 i 2022, laureatka konkursu na Wiersze, które należy mówić głośno w Teatrze Ósmego Dnia. Mieszka z tricolorką o imieniu Mysza.

Jakub Sajkowski

poeta, tłumacz, nauczyciel języka polskiego jako obcego. Opublikowane książki poetyckie: *Ślizgawki* (2010), *Google Translator* (2015), *Zestaw do kaligrafii* (2018), *Ilha Formosa* (2021). Wiersze, a także przekłady z angielskiego, rosyjskiego i mandaryńskiego, publikował w wielu periodykach literackich (m.in. „Drobiazgi", „Dwutygodnik", „Stoner Polski", „ArtPapier"). Mieszka w Poznaniu.

ćwiczenia z utraty kontroli

mój tata zawsze szuka pretekstu by wyjść z domu
by choć na chwilę po gazetę to & owo by sprawdzić
poziom płynu w hamulcach by powiedzieć komuś dzień dobry

mój tata wychodzi do piwnicy popłakać
mój tata lubi sobie popłakać mój tata
lubi płakać nad winnetou nad lennonem i yoko
lubi rzewnie płakać gdy leci love me do i norwegian wood

moja poranna rozgrzewka:
ćwiczenia z zawodzenia
głośno i siebie
ćwiczenia z rozrywania trzewi
to tata nauczył mnie na próbę płakać

bo gdy nadejdzie
prawdziwy płacz
będzie można udawać
że słuchawki prysznicowe łączą nas ze zmarłymi kotami
że kuwety to statki kosmiczne
że masło jest smaczne
że potop naprawdę wygrywa w raportach czytelnictwa

bo gdy nadejdzie
prawdziwy płacz
będzie można się śmiać
i pić razem kompot

***

Albo jedyna kontrola, którą masz nad światem,
to wziąć w garść zerwany bez, jego ulotny zapach,
chyba że potrafisz robić nalewkę z bzu,
a potem pijesz ten bez, upaja cię bez, wśród bzu
wstępujesz w brak, jak mówią Rosjanie
na małżeństwa, na łączenie się

w parę, która skrapla się, i zalewa całe miasto,
i jedyna kontrola, którą masz nad światem,
to wpisać w aplikację punktualność niska
i wyobrażasz sobie, kiedy przyjeżdżają
wszystkie autobusy naraz, że zrobiło im się jakoś głupio,
i wszystkie gremialnie próbują przeprosić,

i możesz ogarniać chaos rozkładu
jazdy, być panem rozdroży, rozgałęzień, siedzącym
na zarywającej się skarpie, na pniu równym jak stół,
z zawieszonymi w powietrzu korzeniami,
kiedy upajasz się, wchłaniasz zapach żywicy,
ściętych drzew, ciętych kwiatów.

Joanna Łępicka

(ur. 1995) znów cholernie pieszo przecina staw pełen cytryn. Mieszka w Krakowie.

sąd sądów

budowano gałęzie na brzegu tężnia
po lewo ślizg (po fazie historia) znaczy
story kulawej Janki ze wsi Pakosław

gałęzie budują gniazdo należy stlić się
albo zarosnąć (spotkać przetrącone skrzydło)
uderzyć w dar sprawdzić czy tarnina rani

wydrążyć miejsce w grocie strzały
w pośpiechu budowanych piramid
(po fazie to stadiony trójkąty to strzały)

bo kiedy wracam do domu i buduję obrazy
nie wracam do domu (naprawdę Janka
była z Jarentowskiego Pola) jej zdaniem

mam słońce w znaku co znaczy
że będę się bardziej znaczył

odmieniać

Ziomek pełny spadania
obserwuje mnie przez mokrą lornetkę.
Nasze łatwopalne miasta
wspinają się na czubki palców

i gest ten pełen jest zgody.

pamięć jest ważna, będzie miała kolor:
wylinki po czymś i nitki na nadgarstku,
ale co, jeśli wątek się zerwie?

miałoby to miejsce w języku prostym
najprostszym języku agresji
gdzie strona a stronie b
i tylko ten flipside
siedzi nocą przy łuczywie, kosi kosą,
rżnie coś

w wierszu wyrazów obcych
liczy tylko na liczby,
                osoby, przypadki

posprzątać

rozgryzłam pestkę – metodę objaśniania,
kwitnącą różową pręgę na nodze

rozgryzłam pestkę – gorzką jak matka,
schedę po starym jeszcze sprzed ery swingu,

gdzie wyżeł się chyli a ona na końcu traci głowę.
gdzie transport był rdzeniem, a ściera patosem

czyścić tylko czasownik.
Zetrzeć kurz na tę ulicę,
kiedy zamarzam nią igły,

wyszywam głowę w jazz, z którego skapują gałęzie
i tylko wstecz widzę wstecz – metodę objaśniania,

że każda ręka z początku błądzi, a potem w końcu nie

jutro od nas ktoś przyjdzie

Tim Postovit

ur. 1996 w Kijowie, studiuje filologię rosyjską na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze. Tłumacz, poeta, publicysta. W 2019 roku wyróżniony współdzielonym tytułem mistrza Czech w duo slamie. Zadebiutował tomem wierszy *Magistrála* (2019), w 2021 roku wydał drugą książkę poetycką *Motýlí pavilon*. Publikował m.in. antologiach *Pandezie* oraz *Nejlepší české básně*. Mieszka w Pradze. Wiersze poniżej pochodzą z tomu *Motylí pavilon*

Zofia Bałdyga

ur. 1987, w Warszawie. Autorka książek poetyckich: *Passe-partout* (Warszawa 2006), *Współgłoski* (Nowa Ruda 2010), *Kto kupi tak małe kraje* (Warszawa 2017) oraz *Klimat kontynentalny* (Poznań 2021). Absolwentka Instytutu Slawistyki Zachodniej i Południowej UW. Tłumaczka najnowszej poezji czeskiej i słowackiej. Autorka antologii poezji kobiet *Sąsiadki. 10 poetek czeskich* (2020) oraz *Sąsiadki. 10 poetek słowackich* (2022). Za działalność translatorską uhonorowana Nagrodą „Literatury na Świecie" w kategorii „Młoda twarz" (2021). Mieszka w Pradze.

szamanka

opalona jak rdzenna mieszkanka ameryki południowej
mówi że krwotok z nosa oznacza
że dusza pozbywa się nieprzyjemnych uczuć

krwotok z nosa oznacza również
że jesteś własną matką
i hernánem cortésem jednocześnie

że jesteś rzeką ohrzą
i rwiesz brzegi koło litomierzyc

że jesteś tym kto złamał nos temu chłopcu
jak rożek

że jesteś również tym w czyjej głowie zapanowała wtedy cisza

jak wtedy kiedy w klasie podnosi się ostatnie krzesło
a za drzwiami rozlegają się głosy dzieci które odchodzą
na długie wakacje

krwotok z nosa wyraża
same przyjemne uczucia

właściciele

dzieci z domów dziecka
najchętniej by cię sobie przywłaszczyły
ciebie i twoich rodziców i twoje miasto

twój kraj

i twoją planetę
którą wepchnęłyby sobie pod koszulkę
jak ich rówieśnicy piłki futbolowe

kiedy ich matki wołają

wracaj do domu
zupa stygnie

o herbacie

przed podróżą należy sobie obiecać
że w domu napijemy się czarnej herbaty
bo może się zdarzyć

że wcale nie dojedziemy do domu
że zmiecie nas ocean
że zdmuchnie nas tajfun

że zatrzyma nas straż przybrzeżna
na wodach terytorialnych
wybrzeża kości słoniowej

należy owinąć się zapewnieniami
jak wieńcem z dmuchawców
jak pasem szahida

należy sobie obiecać
że w domu napijemy się czarnej herbaty

o drzewach

ludzie rozchodzą się bez słów
kiedy tylko uświadomią sobie że to koniec

powinni wyciąć wyrośnięte drzewo
to jedyne co ma jeszcze znaczenie

aby oszczędzili mu pracy na marne
aby pusty gest

stał się tragedią na skalę światową

dopiąć każdą niemiłość i każdy niezwiązek
na ostatni guzik

czarny balonik z helem do nieba
i do wszystkich diabłów

jak wcześniej serce czernieje od zarazy
z poezją ku niebu

i na wszystkie laury

kiedyś to potrafili
teraz wystarczy wycinać drzewa

perro callejero

avenida długa jak ramiona twojej matki
kiedy okładała zimnym ręcznikiem
twoje rozpalone gorączką czoło

kawiarnia mała jak twoja dusza
kiedy przestraszyłeś się bezpańskiego psa
bo dotarło do ciebie że pójdziesz za nim

zęby mężczyzny między którymi pęka piasek
z sandałów marii magdaleny

która z pokorą podaje ci
    neonowy obojczyk
żebyś sprzedał go na bazarze – łatwo
jak gotowaną kukurydzę
jak owczy ser

a za zarobione pieniądze kupił sobie
bilet do domu

Piotr Szczepański

absolwent filozofii, kulturoznawca, na co dzień pracuje na ASP w Warszawie.

***** [ssij makaron zanim sanie]**

ssij makaron zanim spadną sanie
meduza nowe media
stara gwardia giez

***** [odpadam od drabinki]**

odpadam od drabinki
po kolanie skręcam

być dżinem keli
kleić dżemy z drabów

***** [a dropsy powiedzą czym by]**

a dropsy powiedzą czym by miał
kuć żuk
w denko paznokcia

***** [udław mew zlewem]**

udław mew zlewem
chlewem paw plew
pitem pal pieśń
dzyń

Ola Wewior

(ona/jej), lubi grzebać w dnie jeziora, ma skomplikowaną relację z papryką. zbiera wyrzucone warzywa w mieście Poznań. czyta książki na hamaku i robi w nim dziury łokciami. lubi pluć. publikowała teksty w „Szpolu", „Szajnie" i „Tlenie Literackim".

ig: @hotomomba

haust

jestem jak przejechany pies
po prostu leżę i nikt mnie nie wspiera
zjadłam naraz całą kanapkę
żeby osa wściekła
mi jej nie zeżarła
żółty liść nade mną dynda

z wielkanocy nic

a ty z wielkanocy
to nic nie miałaś w tym roku
tylko byś chyba spierdalała się pod blokiem
z osobami tej samej płci całowała
pamiętaj: im szybciej pijesz
tym szybciej z ciebie wypływa
a pomidory: zbierałaś w tym roku?
nie zbierałaś bo wam szklarnię rozjebało

gram bo tęsknię

gdybym była diżejką nazwałabym się
Krew Menstruo DJ
śniło mi się że przekłuwasz sutki
i wylatujesz do stanów:
tęsknię niemożebnie

kiedy śpisz zamiast dzwonić
ja gram jajami w łapki z gołębiami

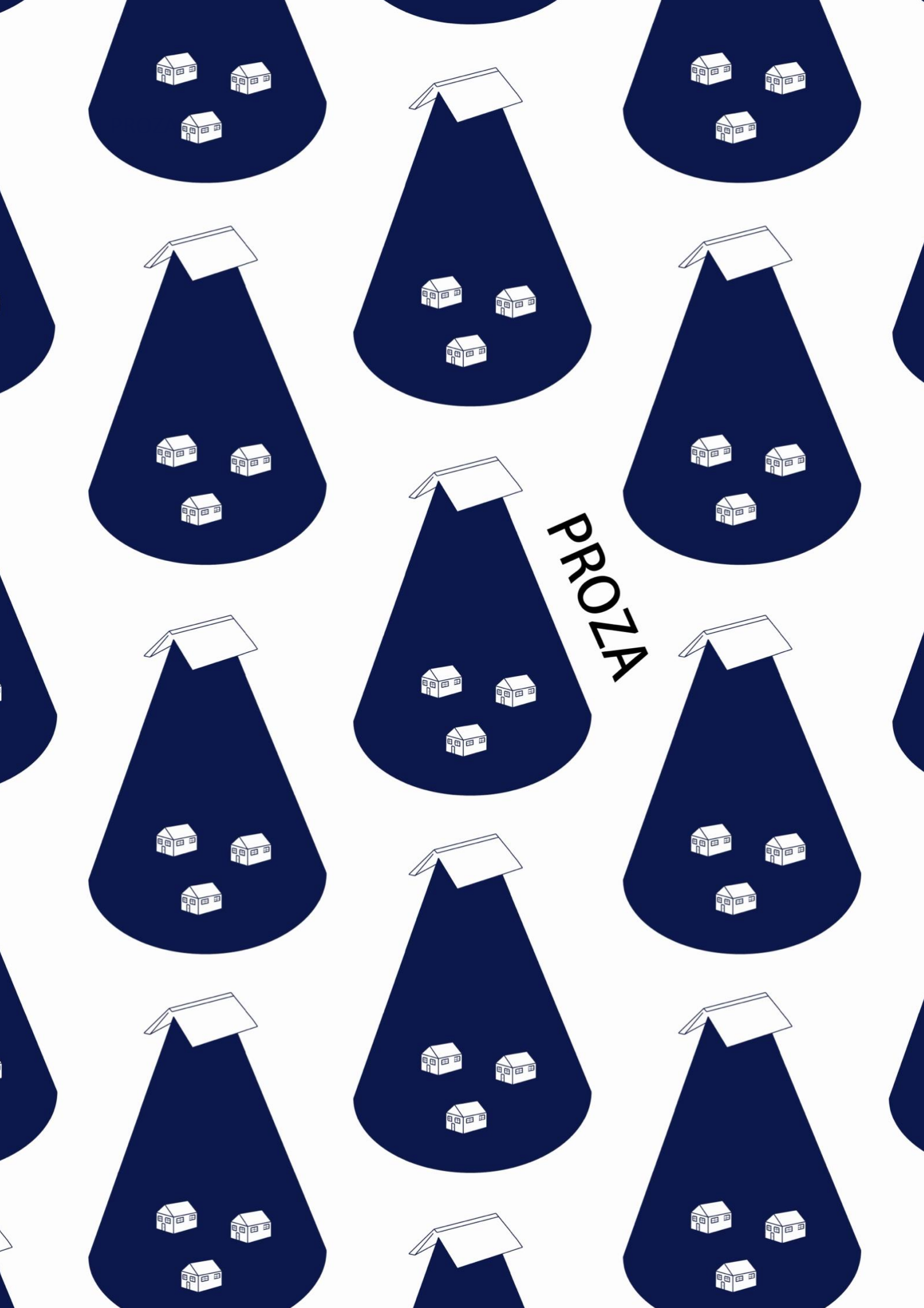

PROZA

Michał Domagalski

autor *Poza sezonem* (nominacja do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius oraz do Nagrody im. Kazimiery Iłłakowiczówny) oraz *za lasem/*. Publikował m. in. w "Przekroju", "Odrze", "Wyspie", "Kontencie", "Stonerze polskim", "Afroncie", “biBLiotece” oraz antologiach (np. *Odwrócona strefa*, *Przewodnik po zaminowanym terenie 2*). Publicysta (ostatnio głównie dla TrueStory). Prowadzi spotkania z pisarkami i pisarzami w ramach autorskiego cyklu BLIŻEJ.

Początek

Skończył się jeden z tych dni listopada, które spędzałeś na wsi u dziadków. Leżałeś w łóżku w pokoju na piętrze. Ciemność przecinały pojedyncze snopy światła odbitego od Księżyca i po przedostaniu się przez szybę uderzały w ścianę. Miałeś trzynaście lat i jeszcze noc wcześniej zastanawiałbyś się, czy po zderzeniu z bielą ściany światło trwa nadal. Teraz myślałeś o młodej świni, którą następnego dnia zawieziecie do knura. Dwukołówkę już doczepiliście do ciągnika. Świnia została umyta i zaprowadzona do oddzielnej przegrody, w której rozłożono świeżą słomę. Pomagałeś we wszystkim. Patrząc na białą plamę światła na ścianie, analizowałeś kolejne czynności z minionego dnia. Ciszę pokoju zakłócał tłumiony przez beton i drewno odgłos kineskopowego telewizora, który za kilka lat zniknie. Na tym samym miejscu stanie nowsza wersja. Nie wiesz, kiedy zasnąłeś.

Po przebudzeniu wydawało ci się, że w ogóle nie spałeś. Leżałeś przykryty szczelnie pierzyną. Wystawała tylko głowa. Chłód wdzierał się do pomieszczeń — czułeś go na twarzy, więc resztę ciała otulałeś ciepłem gęsiego pierza. W końcu jednak wysunąłeś nogę. Nikt jeszcze nie napalił w piecu. Szybko wciągasz spodnie i bluzę, ale wychłodzone przez noc, wcale nie dają oczekiwanego ciepła. Kulisz się w sobie. Dopiero po chwili odzież sprawdza się jako kolejna warstwa.

Schodzisz na parter. W kuchni ciepło bucha od pieca. Na stole dwie szklanki w koszyczkach. Z obu paruje herbata. Zwinięte liście stają się wilgotne i powoli opadają na dno. Nie ma nikogo. Po szumie w kaloryferach orientujesz się, że ktoś właśnie rozpalił w piecu centralnym znajdującym się w piwnicy. Myślisz o tym, że w chlewie jest zimno.

Odczuwasz niepokój, który nie znika przez cały dzień. Ani kiedy okazująca kwikami niepewność świnia wchodzi szturchana kijem na dwukółkę, ani kiedy patrząc na nią z kabiny, nie słyszysz już niczego, bo silnik ciągnika zagłusza inne dźwięki. Siedzisz z boku na nadkolu. Z każdą dziurą uderzasz lekko w szybę. Nie odwracasz się przez całą drogę w stronę dziadka. Patrzysz na świnię, która kołysze się i próbuje podnieść łeb.

Knur był większy. Rozglądał się. Na nic nie czekał. Nakierowywana kijem świnia przeszła przez furtkę. Podszedł do niej zainteresowany. Trzy pary ludzkich oczu obserwowały wszystko. Niepewne chodzenie, wąchanie, pocieranie. I brak zainteresowania. W końcu dłoń w robotniczej rękawicy zbliżyła się do prącia knura. Patrzysz zafascynowany.

W sobie czujesz przyspieszające serce. Poza sobą — przyspieszający rytm pomrukiwań knura. Kiedy rękawiczka się odsuwa, knur szuka zaspokojenia. Zaczyna interesować się świnią. Zerkasz na jej pochwę.

— Jeszcze nie śmierdzi wystarczająco mocno, ale teraz ją weźmie — mówi któryś z mężczyzn, nie potrafisz sobie przypomnieć który.

Patrzysz, jak knur wskakuje na świnie. Po raz pierwszy oglądasz stosunek ssaków.

— Dobrze, że wcześniej już ją stymulowaliśmy knurem — słyszysz fragment dialogu.

Na podstawie zachowań knura i świni wyobrażasz sobie towarzyszące im emocje. Ale to tylko wyobrażenie, które szybko ulatuje. Skupiłeś się na fizyczności aktu. Na penisie i pochwie. Na gwałtownych ruchach samca.

W drodze powrotnej próbowałeś wychwycić zmiany w młodej świni. Niczego nie dostrzegłeś. Odbijała się na dziurach bokiem o metalową burtę dwukołówki.

*

Kończył się kolejny dzień listopada. Ciepło, które biło z nagrzanych jeszcze kaloryferów, pozwoliło opuścić legowisko. Odrzuciłeś pierzynę i wstałeś. Przez chwilę w ciemnym pokoju tkwiłeś zupełnie nieruchomo. Było późno. Kineskopowy telewizor pozostawał włączony, ale prawdopodobnie nikt już na niego nie patrzył, a ciało dziadka — jak zwykle — spało w fotelu.

Zsunąłeś z siebie spodnie od pidżamy. Zdjąłeś także koszulę, po czym obie części ułożyłeś na łóżku. Wyszedłeś z pokoju. W holu na piętrze znajdowała się nieużywana na co dzień komoda ze składanym trzyczęściowym lustrem. Boczne skrzydła ustawiłeś tak, żeby widzieć trzy swoje odbicia jednocześnie. Światło w holu wpadało z zewnątrz przez okno balkonowe. Resztki z latarni stojącej przy drodze przecinającej wieś. Na początku musiałeś wytężać wzrok, żeby zobaczyć szczegóły ciała. Nie chciałeś jednak psuć wszystkiego włączaniem dwóch stuwatowych żarówek nad swoją głową. Poza tym, wzrok szybko zaczął się przyzwyczajać.

Penis w lustrze sterczał z podbrzusza w górę. Zbliżyła się do niego ręka. Dwie obce sobie części z jednego ciała. Gdy skóra dłoni dotyka penisa, jego czubek podnosi się jeszcze bardziej.

Klapnięcie. Tak nazwałbyś usłyszany za sobą dźwięk. Odwróciłeś się, ale niezbyt spiesznie. Spojrzałeś na drzwi. To pewnie za nimi. To pewnie w pokoju babci. Stanąłeś wyprostowany w ich stronę. Nagie ciało oświetlał snop bladego światła. Oczy patrzyły na drzwi. Z dołu dobiegał szum kineskopowego telewizora. Czekasz. Teraz się zacznie.

Mira Król

urodzona w 1987 roku, w dniu jej czwartych urodzin światło dzienne ujrzała płyta “Nevermind” Nirvany. Absolwentka pedagogiki, socjoterapii i logopedii. Mieszka na mazowieckiej wsi. Wychowuje córkę i syna, pisze. Publikowała w „Migotaniach”, “Afroncie”, „Drobiazgach”, Stronie Czynnej”, “Helikopterze”, “Szajn”. Znalazła się w gronie laureatów piątej edycji Małopolskiej Nagrody Poetyckiej ŹRÓDŁO. W 2021 roku ukazała się jej pierwsza książka, nie lubi o niej mówić, myśli – wytrych. Gdy ktoś pyta, co aktualnie robi, odpowiada: „Szwendam się”. Na deficyt zieleni poleca: pola, łąki, lasy i rower.

Żuwaczki

Wszyscy piękni chłopacy kochali się w mojej siostrze.

Wszyscy piękni chłopacy kochali się w mojej siostrze. Wiadomo przecież, że począwszy od pierwszego etapu edukacji, gdy chlebek to bebek, a wielbłąd to jebłąd i bawi to wszystkich niesłychanie, doprawdy wszystkich, wykształceni nauczyciele przekonywali nas, że w każdej legendzie leży ziarno prawdy. Coś jak podwaliny dobrej historii. "To", konkretnie "to" ziarno jest wyjątkowo dorodne, jędrne i kształtne (i oczywiście idealnie wpasowuje się w dłoń każdego mężczyzny, małego, dużego, grubego, chudego, łysego i kudłatego). Do tego stopnia, iż wszystkie czarnoziemy ziemi, tej ziemi, łakomie na nie spoglądają i śnią o nim mokre sny o kiełkowaniu. Oświadczam zatem, świadoma praw i obowiązków, że nie zdarzyło mi się w ostatnim czasie powiedzieć nic bardziej oddającego realia mojego żałosnego żywota, ponad wyznanie, że wszyscy piękni chłopacy kochali się w mojej siostrze. Tylko ślina i śluz ślimaka, ewentualnie woskowina. Możesz mnie śmiało postawić na jednej półce z rekluzami, rekluzkami, stylitami, stylistami i kluskami, pierogami i co ci wyobraźnia na język przyniesie (to coś jak pies na łańcuchu i te wydeptane półkola niczym fosy wokół budy, ślad po wykopaliskach tęczy). Wszyscy święci samotnicy i ja – eremitka z Podlasia z przykościelnej przybudówki.

Nacięłam skórkę i żywica popłynęła cienką strużką. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, czego nie mogę powiedzieć o pamięci. A przecież są jeszcze noce, a noce to sny nieujarzmione, a sny to pytania, a te stanowią wyjątkowo przykry wrzód na dupie, który paskudzi się i sączy się z niego ropa. Takie bardzo to *fuu* i nie wiesz, co zasłaniać w pierwszej kolejności, oczy czy nos. Bo czy to możliwe, że w samym środku serca, obrośnięty tkankami jak pnączami bluszczu, jest mały kamyk i czy możliwe (oby!), że to bursztyn? Proste, że jeśli już coś mam tam mieć, to niech to będzie z górnej półki, niech błyszczy i zieje ogniem jak smok, tak sobie wymarzyłam. Wisienką na torcie niech będzie błonkówka w środku, jak w trumnie, jak faraon w piramidzie. Błyskotka z trupem. Jebać bursztynowe komnaty, ołtarze, czas na bursztynowe groby. A inkluzje w stolicy mojego serca niech będą częste i pozbawione jakiegokolwiek sensu. Śmiertelne pułapki. Wreszcie budzę się zlana potem i zastanawiam się na głos, bo dobrze czasem, by coś wybrzmiało, tak dla efektu, to mówię innym, a między bogiem a prawdą, jedyny efekt, o którym może

tu być mowa, to efekt samotności. I czy tylko mi śni się ten sam sen, zupełnie jak ten o wypadających zębach, gdy tylko jestem zbyt spokojna i trzeba rozruszać wodę w na dnie uszczerbionej szklanki.

Uprasza się, wszystko ma być bez znaczenia, bo znaczenie wszystko komplikuje znacznie, znaczenie ryje korytarze pod skórą, znaczenie żłobi zmarszczki, znaczenie wyrywa człowieka na kilka lat z jego naturalnego środowiska, zaburza delikatną homeostazę i prowadzi do spadku bioróżnorodności na wykurwiście wiele lat. Nie do zliczenia na palcach. Matematyka wyższego stopnia.

Dla twojego dobra, odruch serca, jest w nim kamyk, ale dalej jest ruchawe, przypominam, że nie można mi ufać na słowo. Pamięć jest jak fale, jak przypływ i odpływ. Fala uderza o brzeg, fala nie pyta, fala przychodzi i zabiera, co chce, kiedy chce i oddaje, co chce, zostawiając zarwane klify. Robi miszmasz w głowie, robi pifpaf rewolwerem na kapiszony, głupia zabawa w udawane śmierci, zabawa w udawanie. Celuj i bądź skuteczny, albo wypierdalaj stawiać babki w piaskownicy. Grzeczny bądź tylko, dziel się, nie bądź małym niewyrośniętym chujkiem i stul pysk. Zabawa, tylko się złapać pod boczki, albo kręcić obery i śmiać, śmiać w sposób taki, że wiesz, że syci, że najada, że w opór nasycony tymi wszystkimi kolorami tęczy. Śmiej albo rzygaj, czy to nie w rzeczy samej zupełnie to samo? Więc rechotaj, więc chichraj się ostentacyjnie, niech obrazoburczo będzie, waginy i penisy w spazmach tańczą lambadę, że aż klecha w wykrochmalonej po ostanie niesforne zagięcie na sutannie, tak, dobrze myślisz, to ten sam, co rozsuwał bluzkę na religii, ten sam, co grał piękne i rzewne pieśni o rozpiętym na krzyżu jak sokół na niebie. Ten, co zapraszał na plebanię, a od progu wręczał ci odkurzacz, o siostro czyń dobre uczynki, a będą ci w niebie zapisane. Krwią, będą i potem i spermą, ale wiedz będą zapisane. Ten sam, twarz zalana czerwienią; gniew wychodzi przez skórę, barwami piekła, krąg za kręgiem, a każdy ma swój odcień; teraz kiwa palcem z epicko surową miną na ciebie siostro, to znaczy na mnie. A wszystko to wygląda przekomicznie przez chwilę tylko, a potem zbiera cięgi za krindżowość do kwadratu. I jak tu się nie zgubić i ścieżki prostej trzymać, how ridiculous it is. Możesz pocałować mnie w dupę, chciałoby się rzec, a jedynie przesuwa się językiem po spierzchniętych wargach. Jak zabawa to zaba, powtarzając za klasykiem, a nóżka sama chodzi.

Witaj w moim świecie, chodzimy tu na palcach, a czasem do tyłu, i nie, nie zgodzę się, że jestem zbyt surowa, nie tak jak mięso, jak sushi, jak surowy, ale sprawiedliwy ojciec,

ociosana jak głaz. Bliżej mi do niebieskich migdałów albo do spróchniała drewna przeżartego przez żarłoczne larwy owadów, przychodzi mi ta myśl szybko. Jestem sprawna na wyrywki i lubię się w słowie larwa, onanizuję się wypowiadając je głoska po głosce. Przepadam za tym, jak beztrosko spływa po języku, jak przesuwa się, jak język odbija l od wałku dziąsłowego i mogę bezwstydnie zamruczeć srogim r. Joga i seks w jednym. Czerw już mi nie leży tak dobrze, jak pies na przykład czy suka. Cedzę go niechętnie i nie bez obrzydzenia. Nadstawiam uszu jak sarna, mała słodka kózka Bambi w polu kukurydzy, a potem węszę długo i skutecznie jak wilk. Jestem ofiara i oprawcą swojej opowieści. Hip hip hura, hip hipo kamp. Pamiętamy to, co chcemy, jak chcemy, pamięć subiektywna, wybiórcza i chroma wyrzuca to, co mogłoby niekorzystnie wpływać na odbiór nas samych przez nas samych. Pierdolenie o hipokampie gra mi na limbie, a limb herbatniczek rozkręca mi inbę, bez kitu. Kuśtyka moja pamięć, porusza się o kulach i pielęgnuje to, co złapane, zepsute, nadgniłe, lepkie i śliskie, wszystkie te owoce, które spadły zbyt wcześnie ze śliw, jabłoni, grusz i wiśni, drylowane przez tłuściutkie białe larwy. Moje larwiątka, moje słodkie muszki owocówki. Po chuj pamiętam właśnie to, głębokie żłobienia korytarze, wąwozy i kanały, blizny i to, że każde rozdanie kończyłam z czarnym piotrusiem w ręku. Ograna przez moja piękna siostrę, smukłą, o latynoskiej urodzie i te jej włosy, drobne fale rozkołysane na wietrze, długie proste nogi, kształtne biodra i wabiący zapach skóry.

Wszyscy chłopacy, których kochałam, kończyli w paszczy modliszki i w to też możesz mi uwierzyć. I chociaż być może, ale nie, że mowa moja przyjmuje nader żałosny ton i trąca o fałszywe nuty, to musisz, bo ktoś musi. Wolałabym jednak, żebyś chciał, tak po prostu chciał, tak będzie miodniej. Słodki będziesz taki i mój, dla mnie będziesz. Nie upodobuj sobie jej, nie zapraszaj do stołu, pozbaw strawy. Chociaż ty, “jedna maluczka dusza”.

Ja jestem zaprawiona w bojach, nie raz i nawet nie dwa adaptowałam się do niesprzyjającej sytuacji, jak obejść się smakiem i palce lizać. Musiały mi wystarczyć ości, obierki. Wylizywałam resztki z talerzy, wydziobywałam okruchy z pod stołu, wszystkie ogryzki, głębiej nawet, po pestki. Musiało mi wystarczyć. Starczało. Krukowatej stołującej się w przy osiedlowych śmietnikach. Skrawki, śmieci, jesteś tym co jesz. Ktoś mówił do mnie, może TO był bóg, z migoczącego pudełka, a w pokoju obok nadawali program

śniadaniowy. W obliczu nadchodzących zmian klimatycznych sztuka adaptacji to całkiem przydatna umiejętność.

Modliszka w gruncie rzeczy była dobra, osobliwie dobra, a to było wkurwiające podwójnie i wprawiające w prawdziwą konsternację. Syndrom sztokholmski na pełnej piździe. Podejmowałam trud rozmowy z nią na tematy ważkie i ważne, ale zazwyczaj, nietraf, trafiałam na jedną z pór jedzenia. Mówiłam, a ona spożywała. Z ust jej wystawały nadtrawione kończyny (i kruchy szkielet siostrzeństwa), a ja patrzyłam jak zahipnotyzowana, jak w transie, jak chrząstka ucha wysuwa się z jej aparatu gębowego typu gryzącego i spada wprost pod moje nogi. Znałam tę chrząstkę, idealnie skrojoną pod moje usta, palce, a więc i ty. Zaskocz mnie czymś. Długie konanie jest karą za grzechy, niech będą ci darowane. W geście bezradności i poczuciu całkowitego niezrozumienia, wzruszałam ramionami, odwracałam na pięcie i opuszczałam jadalnię, dalszy monolog wydawał mi się stratą czasu. Addio! – rzucałam od niechcenia i szybkie – smacznego, niech ci kość w gardle nie stanie, niezgody kość między nami. Czy wszystko można tłumaczyć naturą stworzenia?

Dawniej był taki zwyczaj, który zakazywał sprzątania w domu zmarłego aż do trzydziestu dni po śmieci, by przypadkiem zbyt wcześnie nie wymieść jego duszy. Ja zwykłam bez zwłoki otwierać wszystkie drzwi i wszystkie okna, aby ułatwić odejście duszom. Nie płaczę, płacz zatrzymuje je w progu. A ja nie chcę się o nie potykać. Chcę je oddać morzu. Wyrosłam już z przeświadczenia, że zawsze musi być jakaś puenta.

Barbara Sinica

Fotografka, nauczycielka i animatorka, mieszka w Poznaniu. Publikowała w „Zadrze", „Stronie Czynnej", „Tlenie Literackim" i „Magazynie Biura Literackiego". Zeszłoroczna wyróżniona i tegoroczna finalistka projektu wydawniczego Połów Prozatorski BL.

Family trip

Pociąg dudni, w przedziale matka z córką, siedzą sobie naprzeciw. W matce dudni, w córce też, ale nie do rytmu. Matka wstaje, jej twarz wisi w lustrze nad córką jak smutna maska z antycznego teatru. Chce podejrzeć, co tam córka pisze i z kim i czy może z nim? Nie rozmawiają dużo od początku podróży, słuchają, każda osobno, swoich własnych dudnień. W córce dudni podwójnie.

Matka pragnie nawiązać kontakt, chce, żeby słowa płynęły z niej jak mleko z piersi albo chociaż z kubka niekapka. Sama niezbędna treść, białko i tłuszcz. Prosto do córki, w córkę, tam, gdzie dudni, żeby przestało. Potrzebuje, żeby było oko do oka, skóra do skóry. A córka nic, twarz nad ekranem jak blady księżyc świeci światłem odbitym. Byle nie z nim, niech z kimkolwiek, tylko nie znowu tak daleko od niej, od matki, niewidoczna w ciemnościach.
Matka wzdycha i wygląda, przez chwilę widzi tylko siebie w brudnej szybie, ale udaje jej się oddalić bliż i przybliżyć dal. A tam, wszystko sunie, drzewa wjeżdżają w słupy, słupy w domy, domy w ciemność. Oczy nie nadążają patrzeć do rytmu. Pamięta inny pociąg do Krakowa, dawno temu, pierwsza klasa, dużo dymu z ust do ust. Jej irish sexmate, Dermot, patrzył na słupy wjeżdżające w domy i mówił: you know, Poland isn't grey, as you told me, it's actually rusty! A potem wsuwał w nią gorzki język, ślinił jak brzegi bibułki. Mógł być twoim ojcem, myśli matka, wracając wzrokiem do córki, chyba dobrze, że nie.

Niedługo Kraków, mówi córka, śpimy na Kazimierzu. Jej usta zsuwają się z twarzy, trochę w prawo, trochę w lewo, matka chce je poprawić, przytrzymać. Mogłaby na przykład powiedzieć: wiesz, jesteśmy jak Frodo i Sam, wieziemy pierścień do Mordoru. Ale tak nie powie, bo przestała czytać córkę, aparat translacyjny się zepsuł, coś w córce zakłóca. Nie wie, co ją zmiękczy, a co zupełnie nie. Zamiast tego wstaje i sięga po torbę znad córki. Są w niej szczoteczki do zębów, klapki, butelki z wodą i koperta z banknotami, takimi jak w filmach o mafii albo w grze Eurobiznes. Są też zdjęcia, do których córka płakała cały wieczór, a potem jeszcze noc i ranek. Na zdjęciach czerń i biel w nierównych proporcjach.

Wychodzą z pociągu, ale dudnienie wysiada z nimi, w nich, w córce podwójne. Matka niesie torbę z pieniędzmi, szczoteczkami, wodą i zdjęciami. Musi chwilę przystanąć, zdjęcia ważą swoje.

W sumie bez sensu, mówi córka, ten Kazimierz, i tak musimy o czwartej rano być na miejscu, czekać. Po co spać w ogóle te biedne trzy godziny?

Matka się zgadza, bo z podwójnym dudnieniem się nie dyskutuje. Można co najwyżej podać wodę i zasłaniać córkę przed strażą ochrony kolei, która chroni kolej przed spaniem pasażerów, szarpiąc ich za ramię. Córka drzemie, a matka udaje, że z nią rozmawia, żeby nie przyszli szarpać. Mówi tak, jak kiedyś, jakby czytała Rzepkę albo Lokomotywę, myląc, zamieniając słowa na takie z własnych sennych rojeń. Głowa opada jej do przodu, broda uderza o mostek, odbija się, spada z szyi i toczy się po dworcowej posadzce. Zabiera ze sobą kurz, błoto, czyjeś rzygi, rozlane piwo, rdzawy osad z Polski, okruchy miejsc, co się poprzyklejały do butów i ludzi. Przepraszam, czy to pani? pyta ktoś uprzejmie, podając jej głowę. I wtedy czuje szarpnięcie. Tu się nie śpi! – dudni strażnik kolei. Już czas, szepcze córka.

Stoją, zimno, córka się kuli, drży podwójnie. Matka chce ją objąć, schować w sobie, wcisnąć w macicę, przygotować odprężającą kąpiel z pianą w worku owodniowym. I nigdy nie wypuścić.

Samochód zatrzymuje się tuż przy nich, nareszcie. Kierowca jest ciepła jak termofor i stanowcza, wsiadają do jej auta niczym do arki wiecznego spokoju. Czasem są kontrole na granicy, mówi kierowca, ale w nocy raczej spokojnie.

Jadą, a wokół wszystko rośnie, twardnieje, ciemność pęka, matka patrzy, co z tych szczelin wyłazi. A to Tatry, myśli zaskoczona, że one nagle wyszły takie piękne i tak bardzo nie na temat, nie dla nich, że aż boli.

Zaraz będziemy, mówi kierowca, uśmiecha się w lusterku do córki.

Wchodzą i czekają, córka do toalety, matka, żeby wyjąć wstyd wielokrotnego użytku, pomachać nim w recepcji na wszelki wypadek. Ale uprzejma pielęgniarka nie chce wstydu, prosi o dokumenty i pyta, jak minęła podróż. Matka wyjmuje teczkę ze zdjęciami i niezdarnie zakrywa wstyd. Nagle widzi, jaki jest zardzewiały na tle szarości i bieli tego miejsca.

W pokoju dwa łóżka, jedno pełne, drugie puste. Matka podpisuje w ramkach, uiszcza w banknotach, proszę, wszystko się zgadza, zebrane w dwa dni, każdy banknot

pognieciony inaczej, każdy od innej przyjaciółki. Tylko on nic nie dorzucił, bo akurat był zajęty graniem w lola i paleniem zioła.

A wie pani jakie ja miałam wcześniej piersi? – słyszy nagle matka z drugiego łóżka i dziwi się, że po polsku. – No, takie naleśniki, że mogłam je sobie zwinąć w rulonik i spiąć agrafką! Po dzieciach tak mi się zrobiło. A oni je tutaj naprawili, wypełnili sensem, teraz są jak poduszki powietrzne, będą amortyzować każde zderzenie, każde porzucenie!

Córka odjeżdża na białym łóżku, korytarz jest długi, ona coraz mniejsza. Nie zdążyłam jej nic powiedzieć, myśli matka, bo słuchałam cudzej historii, nie umiałam przerwać. I zaczyna płakać łzami gęstymi od białka i prolaktyny, niczym mleko, którym kiedyś karmiła córkę. Łzy płyną rdzawym strumieniem po szyi, pod bluzką, w kierunku pępka. Matka szuka chusteczki, ale przypomina sobie, że nie ma kieszeni. Podchodzi pielęgniarka i pokazuje matce na migi, że się rozmazała. Twarz cała w tuszu, w cieniach, zupełnie do niej ten brąz nie pasuje, w analizie kolorystycznej jej przecież wyszło chłodne lato.

Neplač, tvoja dcéra bude v poriadku! – mówi pielęgniarka, a matka wtula się w jej fartuch, w jej wykrochmalone ciało, chciałaby tak pozostać, nigdy nie wychodzić.

A czy ja będę v poriadku? – myśli matka, kiedy pielęgniarka odchodzi z resztkami jej makijażu na białym kołnierzu. Dotyka głowy, w której drzewa wjeżdżają w słupy, słupy w domy a domy w ciemność. Ta ciemność jest moja własna, we mnie, myśli zaskoczona i boi się, ale patrzy. Czeka, aż ciemność pęknie, czeka, co z tych szczelin wylezie. A tu nic, mrok gęsty jak ziemia, szczelnie matkę wypełnia. Chłodzi i grzeje jednocześnie, wycisza dudnienie.

Przywożą córkę w krótkiej szpitalnej koszuli, matka nie patrzy na nogi, tylko na twarz.
Do czego to doszło! – odzywa się ta od piersi z sąsiedniego łóżka - żeby nie można było we własnym kraju! Ja mieszkam w Szwajcarii i mogłabym o - tak. Nie, żebym potrzebowała, no ale.

W matce już nic nie dudni. Czeka, aż córka się obudzi, dotyka jej czoła, jest gładkie i chłodne, nie dziecięce. Córka otwiera oczy, patrzy prosto na matkę, w matkę, tam, gdzie dudniło i przestało. Śmieje się. Mamo. Ale się rozmazałaś! Nie wiadomo, czy to sedacja jeszcze trzyma, czy córka wgrywa się w siebie na nowo.

Wsiadają do auta, silnik przyjemnie warkocze, matka wpada w córkę na zakrętach. Chichoczą do rytmu. Palce tańczą na klawiaturach, córki szybciej i wszystkie naraz. Matka patrzy prosto w Tatry, mruży oczy, bo słońce. A może by tak z plecakiem, razem, w weekend któryś długi? Nie wiem, mruczy córka, chyba mam już plany z dziewczynami. Opiera się o matkę i zasypia, głowa na ramieniu, skóra do skóry. Matka widzi, że zbliża się Polska, rdza błyszczy w słońcu, w matce ciemność miesza się ze światłem.

Olga Żyminkowska

studentka filozofii z Poznania. Publikowała m.in. w „Niecodzienniku Towarzyskim”, „Iksie”, „Helikopterze” i „Gazecie Musi Się Ukazać”. Ilustratorka w „Drobiazgach” i „Tlenie Literackim”. Autorka książki „Milana Kundery filozoficzna koncepcja postawy lirycznej, dramatycznej i powieściopisarskiej” (Universitas 2022). Laureatka Nagrody Leszka Kołakowskiego (2018).

Indziej

Dzień pierwszy

Pani Wanda budzi się w nocy. Wtedy przychodzi i klepie mnie po ramieniu. Otwieram oczy, ciemno: bez różnicy, czy zamknę. Mówię sobie: oto byt, oto mała bytka Wanda. A ona do mnie: mamusiu, mamusiu.

I nie wiem, kiedy nagle staję się mamusią, i mówię: córeczko, Wandziu. Wtedy ciemność się zakrzywia: symetrycznie po bokach. To znak, że pani Wanda się uśmiecha.

Całuję ją pośrodku zakrzywionej przestrzeni. Ma twarde zęby i suche dziąsła. Z ciemności wychodzi jej mokra górka, którą wkłada mi pod język. Wtedy zazwyczaj ktoś nam przerywa. Oni wszyscy myślą, że mogą sobie ot-pstryk odpędzać ciemność.

Pani Wanda ma niewielkie przestraszone rączki i dużego pampersa. Nogi jak ugotowany kurczak. Mówię jej do jutra, a to przecież hen. Ale dla Wandy wszystko jest tu-oto, na raz. W nocy między trzecią a czwartą nie miewam przeszłości. Wtedy jak otworzę oczy, to widzę tylko to, co widzę.

O czwartej trzydzieści przeszłość mi powraca. Pytają mnie, czy znam przypisane mi numery: numer sali, numer domu, numer urodzenia, numer dnia, numer godziny. Mam tendencję do podawania wciąż tych samych numerów. Mówię im na przykład: pięć, pięć, pięć, pięć, pięć. Nie są wtedy zadowoleni, patrzą na siebie lekko przymkniętymi oczyma.

Myślę, jak wypełnić dzisiejsze godziny. Napinam mocno stopę i sprawdzam czy żyję. Wychodzę na korytarz. Praktykuję nazywanie. Czasem coś zobaczę i ucieknie mi słowo. Wtedy ciepła fala przechodzi mi od pępka do obojczyka. Całkiem miło jest żyć, jak boli tylko głowa. Jak mi się znudzi chodzić do przodu, to wtedy chodzę od prawej do lewej, i też się dojdzie.

Ziemniaki z marchewką razem dają pomarańczową, a nie żółtą kaszkę. Wygrywa marchewka. Panią Wandę też to dziwi.

Dziś do mnie nie przyszła. Może dlatego, że nie czekałam.

Banan ze szpinakiem razem dają zieloną kaszkę. Kto by pomyślał.

Do kolacji trzy godziny. Więc biorę pod boki piętnastą i osiemnastą. Ciekawe, co da zielona kaszka z pomarańczową. Sprawdzam. No i cofnął się czas, znów zielony i pomarańczowy oddzielnie.

Pora usiąść. Chodzę palcami od brzucha do stopy, na kolanie zatrzymuję się i rozglądam. Wędrowiec nad morzem mgły. Jak na łydce spadnę, to trzeba od nowa. Wielki powrót.

Okna tutaj są zrobione transcendentalnie - widzi się wszystkie warunki widzenia. Kratki, kropki i szpikulce na gołębie. A wieczorem świat się podwaja i widać za oknem to samo, co przed nim.

Dwie godziny do kolacji. Patrzę przez okno i jadę tramwajem. Długi korek. Ludzie syczą. Okno jest strategią dystansu. Tutaj boją się ich otwierać, bo świat zewnętrzny ziębi i powoduje katar.

Niektóre okna mają cienkie czarne krateczki. Spytałam się i teraz wiem, że to z kolei w obawie przed innym życiem.

Dużo się dzieje i nie ma czasu, żeby wszystko na bieżąco tłumaczyć na litery. Pisać można tylko na papierze, a jak się pisze po ścianach, to krzyczą i zamazują.
Lubię panią Wandę, bo jej także zadali ćwiczenie na nazywanie, ale ona nazywa tylko mnie. I chyba jestem dla niej wszystkim, bo wczoraj w nocy mówiła do mnie dziecko, a ja już przecież nie mam matki.

Lubię te nasze nocne schadzki, mimo że prawie zawsze przychodzi pstryk i wtedy już nic nie widać. Wanda pachnie octem, ale nikomu to nie przeszkadza. Kiedy mnie przytula, ukradkiem wącham jej przedziałek, bo tam trzyma esencję swego zapachu. Czasem oprócz zakrzywionych przestrzeni widać tylko tę jasną dróżkę, a ma ją tak długą, że nie mieści się pod nosem.

Latem, kiedy noce są bardziej szare, widać gładką powierzchnię jej oczu. Raz nawet zgodziła się, bym dotknęła je językiem. Tak bardzo chciałabym widzieć w sobie to, co ona widzi we mnie.

Czasem nazywa mnie po imieniu. Potem cały dzień staram się czuć, co znaczy być Anną i jak to się różni od bycia Ewą.

Bardzo często prosi mnie o coś, czego nie potrafi przetłumaczyć. Wtedy wystarczy, że położę swoją brodę na jej przedziałku i uznaje, że prośba spełniona.

Zdarzyło się, że przy mnie płakała. Z doświadczenia wiem, że wtedy trzeba przytrzymać głowę za obie skronie i oprzeć czoło o poduszkę. Wanda nie potrafi utrzymać stabilnego świata. W dzień śpi, a nocą przypomina jej się przeszłość i wtedy nie odróżnia żurawia od czapli. W dzień, jak zdarzy mi się chodzić od prawej do lewej, wchodzę do jej pokoju. Dotykam wtedy jej pergaminowej skóry i czytam sobie z jej ciała. Najbardziej lubię paznokcie, są ciepłe i różowe, mają na dole odwrócone księżyce. Od nich zaczynam wędrować palcami aż do przedziałka z octem. Droga jest krótka, ale bagnista, palce topią mi się między ruchomymi górami.

Stopy Wandy są zimne i twarde, mają żółte pięty i czarne kłaczki między palcami. Zbieram je czasem i formuję w kulkę, którą kładę do szuflady. Kiedy widzę dużo włosów, rzęs i czarnych kłaczków, mam wrażenie, jakby Wanda sama zostawiała mi je na pamiątkę. Jakby chciała mi dać cząstkę siebie.

Dzień pierwszy

Mój pokój znajduje się na końcu korytarza, najdalej od dyżurki. Pokój peryferyjny. Druga mieszkanka tego pokoju, pani Emilia, zajmuje się badaniem cielesnych granic człowieka. Mówi, że chce dać swojej duszy tylko tyle miejsca, ile wymaga jej schronienie. Uważa, że dusza to mała kuleczka, której potrzebny jest co najwyżej kwadrat o boku 50 cm. Dlatego pewnego wieczoru obcięła swoje długie rude włosy (wepchnęłam je w poduszkę i zaniosłam Wandzie), ściągnęła jeszcze ciepłe paznokcie wraz z księżycami i próbowała odciąć sobie kciuk (w porę nastąpił pstryk). Po kilku tygodniach eksperckich rozmów o duszy, stała się hylozoistką i teraz nie odcina sobie niczego. Co więcej, rozpacza nad każdym włosem i półksiężycem na pościeli.

Emilia nazywa mnie bergamotką. Nie wiem, jak to jest być bergamotką. Chyba nie można za wiele chodzić i trzeba dużo patrzeć przez okno. Jak za długo patrzę przez okno, to boli mnie kark i chłodzę czoło o szybę. Wtedy myśli z ciepłego czoła wędrują do przezroczystości i zamieniają się w małe kropeczki. Są one małym magazynem, w którym gromadzi się nadmiar wrażeń. A dzieje się tyle, że nie sposób wszystko przetłumaczyć i ze wszystkiego sprawozdać.

Dzień pierwszy

Pani Emilia widziała w życiu zbyt dużo. Pewnie dlatego brzydkie powidoki odłożyły jej się pod oczami i ma teraz dwa fioletowe księżyce. Do tej pory myślałam, że wszystkie powidoki przyklejają się do ciemnej części powiek, a podczas śnienia odrywają się i wirują w błyskach. Ale jak jest ich za dużo, to przechodzą niżej, do rezerwuaru widoków. I z takim fioletowym księżycem nie sposób powiedzieć, że człowiek nie ma przeszłości. Bergamotki chyba nie mają księżyców.

Emilia lubi powtarzać: wszystko jest po coś. I na dowód pokazuje, że otworek między obojczykami pasuje do podbródka.

Emilia chciałaby, bym jej uwierzyła. W tym celu siada na moim łóżku, pochyla się, zwija mi rękę w pięść i oplata ją bluszczem. Sama ma ręce jak witki wierzby, wiotkie i zakręcone przy końcach. Lubię je dotykać i wyobrażać sobie, że wyrastają z nich małe listki. Zamiast listków ma za to grube i pofałdowne paznokcie, jak łowne szpony. Gdybym zobaczyła je bez światła, mogłabym pomyśleć, że jestem dla nich myszą.

Dzięki niej przestałam pytać o cel. Tutaj wszystko ma swoją celowość bez celu. Cel ograniczony do punktu widzenia. Punkt od jednej ściany do drugiej. I nie dalej.

W takim miejscu jak to, człowiek staje się bardziej drobiazgowy. Wiem dokładnie, kiedy pani Emilia ma nastrój mesjański. Wznosi wtedy oczy do świętego Piotra i bulgocze jak indor. A wtedy obok niej zazwyczaj robi się rwetes, słychać klapki obijane o pięty i szelest ud w ciasnych spódnicach. Wtedy świat zmienia oś obrotu i kręci się wzdłuż mesjańskiej Emilii. Często staję w jej obronie i mówię, że jej dusza pod wpływem ciepła pęcznieje jak drożdżówka i stąd te głośne lamenty. W takich chwilach łysa Emilia zaciska wierzbowe gałązki na zimnych prętach łóżka, wydając czasem tępe kwikanie. A przecież ona bardzo chce nam wszystkim pomóc. I ona wtedy nie ma przeszłości.

Dzień pierwszy

Wieczorami, gdy odgórnie wiadomo, że czas się wypełnił, czuję, jak mrowią we mnie możliwości.

Jestem wtedy wszystkim na raz. To miłe mrowienie w stopach wzmaga się, gdy jestem małą mrówką pośród wysokich drzew.

Dziwna to metafizyka, w której wszystko jest możliwe.

Świat, w którym żyję, ma pootwierane na oścież wszystkie okna (bez kratek). Wszystko ma drzwi z obiema klamkami.

Wszystko jest tak samo realne, tak samo możliwe, tak samo logiczne. Jest to logika nieskończenie wielu wartości. Metafizyka dowolności.

Nie ma w niej Żyda ani Greka, nie ma czapli i nie ma żurawia. To dość przyjemne kąpać się w jednym strumieniu z całym światem.

Panią Wandę myje kilka rąk, bo jedna para nie może unieść dwóch pośladków. Słychać wtedy ślizganie się cielęcej pupy o wannę. Nie wiadomo, po co stykać się z zewnętrzną przejrzystością, która powoduje takie dźwięki. Ale mówią, że to dla zasady i nikt nie żąda dalszych wyjaśnień. Poza tym, oni wszyscy są bezmyślni i niespójni. Nie wierzą w niewidzialne, a zarzynają cielaki w wannie. Dobrze, że chociaż nie są w stanie zabrać Wandzie octu, który trzyma w przedziałku. Odgłos cielca przypomina mi strach Izaaka. Tylko że wtedy bóg żartował, a dziś już mu się nie chce.

Gdy słyszę ten głos, przykładam usta do ściany tak ściśle, że nikt już nie będzie mi zarzucał nielogiczności. Robię tak, by żadne słowo nie uleciało czasem w kierunku Emilii, która nie lubi, jak potem trzeba je zbierać w wietrze. Przesyłam wyrazy w kierunku cielca, wyrazy, których przetłumaczyć nie sposób. Bardzo lubię oglądać, jak zagnieżdżają się potem w grudkach tynku i ściana mieni się kolorami.

Dzień pierwszy

Co raz zaistniało, wydarza się już zawsze. Chodzę od drzwi do drzwi, ściana do ściany. Muszę się ograniczać. Jestem w czasie. Jestem w masie.

Czuję, że to nastąpi dziś w nocy. Do oczu napływają zeszłoroczne śniegi, od karku, przez uszy, aż do powiek. Czas zagęszcza się smolistym ruchem gąsienicy. Człowiek z przeszłością jest nie do uniesienia.

Czas robi się lepki, oblepia usta i skleja włosy. Już nic się nie da zrobić. Przyszły do mnie nożyczki i straciłam wszystkie czarne kłębki. Pytam się ich, jakim prawem. Jakim prawem zjadają mnie łyżeczka po łyżeczce. Pyszny deser z włosków, skórek, rzęs i paznokci. Nie zgadzam się, ale ponoć czas jest poza mną.

Co raz zaistniało, wydarza się aż do końca. Czas płynie kropla po kropli, aż się w końcu przeleje. Stalaktyty, stalagmity, stalagnaty.

Czuć miazmaty. Z sąsiedniego pokoju dobiega miarowe chrapanie. Powietrze wydobyte z głębin poskręcanych flaków, z karbowanych smolistych gąsienic, z gorących źródeł wewnętrznego życia. I tak Wanda pasożytuje na niewidzialnym.

(…)

KRYTYKA

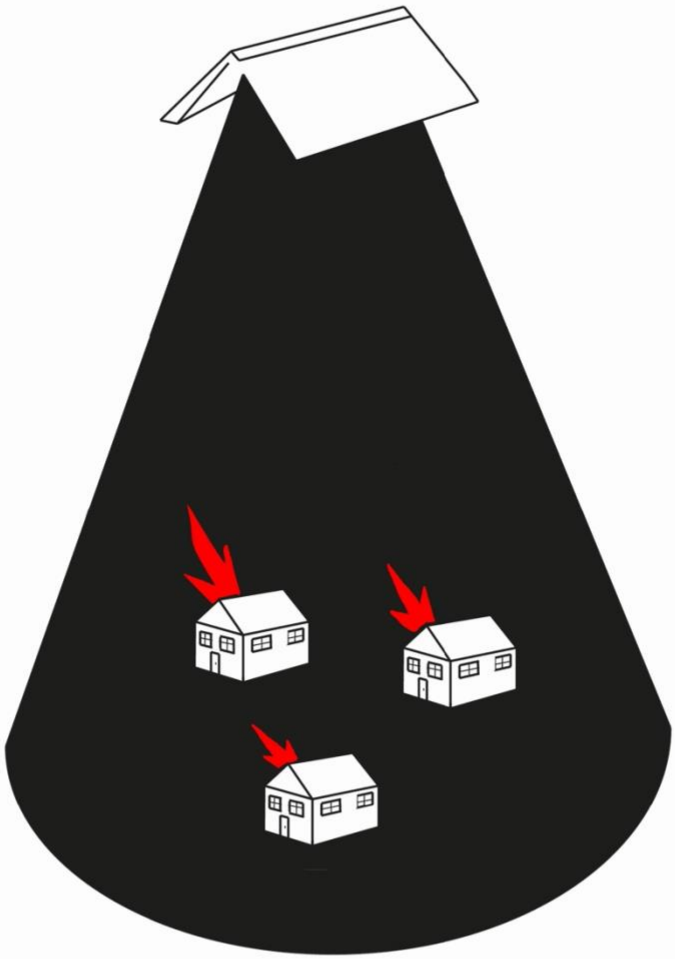

Agnieszka Budnik

Literaturoznawczyni, animatorka literatury, prowadząca spotkań literackich, redaktorka; doktorantka w Zakładzie Poetyki i Krytyki Literackiej Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; absolwentka specjalności przekładowej. W pracy naukowej skupia się na współczesnych nagrodach literackich, literaturze najnowszej, rynku książki i życiu literackim. Opowiada o tym w popularnonaukowym podcaście *Raport z literatury*.

W cieniu reżimu. Nona Fernández, *Strefa mroku*, przeł. Agata Ostrowska, ArtRage 2022

Pisanie i czytanie o zbrodniczych reżimach, masowych egzekucjach i panoszącej się śmierci przypomina państwowe obchody albo szkolne apele: nie za bardzo wiadomo, o co chodzi, a przy tym zestaw ruchów jest ograniczony. Należy się powaga, zatroskane kiwnięcie głową i rozejście do zajęć własnych. Stylistyczne dezynwoltury i łamanie patosu rzadko kiedy wchodzą w grę. A jednak, jak w przypadku Strefy mroku Nony Fernández, mariaż z popkulturą działa silniej niż notka w podręczniku.

Jest 1984 rok. Do redakcji pisma chilijskiego pisma „Cauce" zgłasza się „mężczyzna, który torturował". Tajemniczy gość dziennikarki postanowił przerwać zmowę milczenia: w wielogodzinnym wywiadzie udzielonym ciepłego, sierpniowego dnia przyznaje się do pracy w Narodowej Służbie Wywiadu, co samo w sobie nie jest szczególnie zaskakujące. Cień wszędobylskiej policji i agentury kładł się cieniem na życiu w Chile pod rządami Augusto Pinocheta. Ot, dyktatura jak każda inna, przerabialiśmy to na własnej skórze.

To jednak nieprawda. Chilijski reżim plasował się na podium niechlubnego rankingu najbardziej zbrodniczych dyktatur XX wieku. Właśnie dlatego wywiad udzielony przez Andrésa Antonio Valenzuela Moralesa zagroził aparatowi władzy. Na okładce pisma opublikowano fotografię żołnierza z podpisem „torturowałem". Rozmowa dziennikarki z Moralesem rzuciła światło na losy uprowadzonych działaczy lewicy, porwanych cywilów, znikających rodzin i niewyjaśnionych strzelanin. Sprowadza też na skruszonego kata śmiertelne zagrożenie.

I choć wszystko to brzmi jak wzorcowy układ zdarzeń poprawnego reportażu, a podobne teksty ukazują się w Polsce właśnie z tą etykietą gatunkową, *Strefa mroku* jest powieścią. I to powieścią wyjątkowo udaną. Prozę Nony Fernández przesiąka ten sam niepokój, który ciążył nad latami 80. Co ważne, pisarka nie skupia się na rekonstrukcji zdarzeń historycznych, ale stawia na wiwisekcję lęku, który nie skończył się na śmierci Pinocheta. Wspominając swoje dzieciństwo i dorastanie w brutalnym państwie, Fernández szkicuje również portret dzisiejszych czterdziesto- i pięćdziesięciolatków oraz ich dzieci. Trauma po raz kolejny okazuje się bowiem kondycją dziedziczną, która nie pozostaje bez znaczenia dla tożsamości współczesnych Chilijczyków, wciąż podzielonych przez stosunek do dyktatora. W jaki sposób pisarce udaje się stworzyć portret tyranii, który nie znieczula i nie przytłacza czytelnika?

Wszystko sprowadza się w tym przypadku do technik narracyjnych. Nona Fernández balansuje pomiędzy relacją reporterską, autofikcyjną opowieścią a środkami znanymi ze szklanego ekranu. Tytuł tej multigatunkowej powieści nie jest przy tym przypadkowy. Chociaż dla dużej części roczników 70. i 80. formacyjnym serialem było „Twin Peaks", Fernández wskazuje na olbrzymią rolę „Strefy mroku" – to właśnie ów amerykański horror science fiction podzielony na odcinki oglądano po szkole, często w rodzinnym gronie. O ile historia Laury Palmer spowita była tajemnicą i aurą niepokoju, o tyle serial z lat 60. (z późniejszymi remake'ami) miał więcej wspólnego z kultową „Gęsią skórką", którą oglądało się spomiędzy palców.

Surrealistyczne obrazy przemocy, podejrzliwość, która stawała się codziennością i niepewność jutra splatały się w pamięci pisarki nominowanej za Strefę mroku do National Book Award w jedno. Tam, gdzie urywał się trop historyczny bądź wspomnieniowy, Fernández oddawała pole wyobraźni: snując narrację o możliwych scenariuszach, prawdopodobnych odczuciach ofiar czy dawnym wyglądzie miejsc kaźni, które odwiedza po latach. I są to sceny, oględnie pisząc, obrazowe: zwłaszcza, kiedy Fernández dość drobiazgowo opisuje sceny tortur, przeplata je ze wspomnieniami „mężczyzny, który torturował" i stara się wniknąć w uczucia uprowadzonych.

Historie opisywanych postaci urywają się jak ich życiorysy, dawne siedziby wywiadu zamieniają się w ruiny, ale niepokój przesiąka do trzewi chilijskiego społeczeństwa. Fernández zapożycza od serialowej „Strefy mroku" konwencję thrillera (czy – co zależy od waszych nerwów – horroru), przypominając sobie konkretne (choć abstrakcyjne) sceny z telewizyjnego show. Pisarka zręcznie łączy światy wyobrażone z tym najzupełniej realnym, zestawiając ze sobą skalę absurdu i strachu. To, co działo się w Chile, zdaje się mówić Fernández, było tak samo niepojęte i brutalne, jak najbardziej wymyślne historie stworzone za oceanem.

Ruch powieściowy jest tu jak najbardziej uzasadniony - Fernández nie jest kronikarką historii Chile, nie skupia się na sylwetce Pinocheta, nie powołuje się na rząd statystyk, dat i cyfr. A jednak udaje jej się więcej: rysuje portret systemu, który odcisnął piętno na kolejnych pokoleniach. Nie chodzi tu jedynie o pamięć czy traumę wpisaną w strukturę tożsamości, ale również o linię podziału wyznaczaną przez politykę historyczną i to, w jaki sposób opowiadamy o wspomnieniach. Jak można się spodziewać, powieść Fernández uważam za jedną ze zręczniejszych: żonglowanie gatunkami i odniesieniami

do popkultury zazwyczaj kończy się mizernie. Nonie Fernández w zasadzie udaje się uniknąć niepotrzebnych uproszczeń i popadania w banał, choć naliczymy kilkanaście miejsc, w których i chilijska pisarska uległa manii dociskania puenty i podsumowania sceny patetycznym one-linerem. Na szczęście to jedyne poważne niedostatki.

Paulina Marszałek

Urodzona w 1998 roku, pochodzi z Oświęcimia, studiowała i mieszka w Krakowie. Ukończyła krytykę literacką na Uniwersytecie Jagiellońskim. Interesuje się głównie literaturą kobiet i koncepcją odzyskiwania głosu. Fanka poezji i papierosów. Czasami rzyga czytaniem i wybiera memy. Czuje w sobie potrzebę pisania. Początkuje z nauką języka chorwackiego. Stara się radzić sobie z życiem.

Przerażająca genealogia kobiet – *Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom* – Christina Lamb, tłum. A. Sobolewska

Nie chciałam przeczytać tej książki. *Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom* Ch. Lamb[1] to reportaż o kobietach, które stały się „łupem wojennym". Krzyk i bezsilność wydobywające się z kolejnych kart opowiadanych historii napawają przerażeniem i wściekłością. Autorka podejmuje się trudnego zadania – chce przedstawić pełnię doświadczenia wojennego, która nie jest możliwa bez uwzględnienia doświadczenia kobiet. Jest przekonana, że kobiety są aktywnymi uczestniczkami i świadkiniami historii (s. 21). Lamb pisze o gwałcie na wojnie:

> Współczesne angielskie słowo rape, oznaczające gwałt, pochodzi od średnioangielskiego rapen, rappen – uprowadzić, zniewolić, porwać – a to z kolei od łacińskiego rapere, czyli ukraść, pochwycić lub zabrać. Jakby kobiety były własnością, za którą zresztą mężczyźni przez stulecia je uważali (s. 234)

Reportaż Lamb nie jest ani lekturą „na raz", ani „do poduszki" i na pewno nie jest dla każdego, ale każdy powinien go przeczytać. Dlaczego? By być świadomym tego, co dzieje się na każdej wojnie, a o czym się nie mówi, co się ignoruje. Dopiero w 2008 roku Rada Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ) przyjęła rezolucję uznającą gwałt (i inne formy przemocy na tle seksualnym) za zbrodnię przeciwko ludzkości[2]. Każde zapisane przez autorkę doświadczenie jest nie tylko pojedynczym głosem tej kobiety, która je przeżyła. Każda mówiąca kobieta odzyskuje nie tylko swój głos, ale także tych, które nie dożyły tego, by opowiedzieć o swoim doświadczeniu i tych, które są zbyt przerażone, by mówić. Każda historia zasługuje na wysłuchanie, przeczytanie, poznanie. Reporterka zdaje sobie sprawę z ogromnego ładunku emocjonalnego, znajdującego się w książce. *Nasze ciała, ich pole bitwy* to książka wstrząsająca na wielu płaszczyznach – pytania o naturę ludzką, działania, motywacje, mechanizmy, człowieczeństwo pozostają często bez odpowiedzi. Nie da się zrozumieć okrucieństwa, które wylewa się z opowieści. Lamb w podziękowaniach napisała: „Nie było łatwo napisać tę książkę – ani z nią żyć" (s. 473) i podobnie – nie łatwo było przeczytać tę książkę, ani z nią żyć:

[1] Ch. Lamb, *Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom*, tłum. A. Sobolewska, Kraków 2022; wszystkie cytaty z tego wydania opatrzone będą numerem strony w nawiasie.
[2] Rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ 1820 (2008), http://unscr.com/en/resolutions/1820 [dostęp: 15.06.2022].

> Kiedy słuchasz czegoś takiego, kobiet opowiadających, jak były zbiorowo gwałcone, jak mężczyźni skakali na brzuch ciężarnej, wywołując poronienie, jako kobieta nie potrafisz tego zapomnieć, bo ciałem i umysłem czujesz, jakby działo się to tobie (s. 168).

Autorka mówi o ocalałych (ang. survivor) „[…] żeby podkreślić wytrwałość i hart ducha tych kobiet, bo przecież przetrwały, zamiast [o] »ofiarach« (ang. victim), które kojarzy się bardziej z bezradnością, a niektórzy uważają je za obraźliwe." Lamb pisze w taki sposób, by na ponad czterystu stronach przedstawić tak naprawdę miliony kobiecych losów, które ugrzęzły w mrokach historii spisanej przez mężczyzn. Skupia się na głosach tych, które do tej pory milczały i których cierpienie zostało zepchnięte na samo dno historii, podobnie jak Swietłana Aleksijewicz (*Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*):

> Pisali mężczyźni i o mężczyznach – to było od razu jasne. Wszystko, co wiemy o wojnie, powiedział nam „męski głos". Wszyscy tkwimy w niewoli „męskich" wyobrażeń i „męskich" doznań wojennych. „Męskich" słów. Kobiety milczą. […] Milczą nawet te, które były na wojnie. Jeśli nagle zaczynają mówić, to opowiadają nie o swojej wojnie, ale o cudzej.

W podręcznikach do historii opisywane są czyny mężczyzn – obrona, atak, podboje, rabunki, wojska, liczebność, broń, polegli… ani słowa o kobietach i ich cierpieniu. A gwałt na wojnie:

> To najstarszy oręż znany człowiekowi. Niszczy rodziny i pustoszy wioski. Zmienia dziewczynki w wyrzutków pragnących, by ich życie się skończyło, choć jeszcze nie zaczęło się na dobre. Z wojennego gwałtu rodzą się dzieci, które codziennie przypominają swoim matkom o przeżytej gehennie i często są odrzucane przez społeczność jako „zła krew". A książki historyczne prawie zawsze go ignorują (s. 11).[3]

Lamb podróżuje i opowiada historie z różnych miejsc: Argentyny, Bangladeszu, Bośni, Filipin, Nigerii, Rwandy… Wszędzie pojawia się budząca przerażenie opozycja: mężczyzna – kobieta. Mężczyźni wydają rozkazy, mężczyźni porywają, mężczyźni sprzedają kobiety, mężczyźni gwałcą, mężczyźni zabijają – kobiety próbują się bronić, kobiety cierpią, kobiety próbują uciekać, kobiety krzyczą, kobiety są gwałcone, kobiety się wstydzą. Gwałt – nazwany w reportażu nie „skutkiem ubocznym" wojny, a celowym narzędziem – to brutalna siła, władza, wstyd. W wielu przypadkach taki wstyd często nigdy nie ustępuje. Tym bardziej w sytuacji, gdy rodziny wyrzekają się własnej córki, żony i matki. Cierpienie nie mija, zapomnienie nie przychodzi. Wyroki nie zapadają, ponieważ

[3] Innej S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, tłum. J. Czech, Wołowiec 2015, s. 11-12.

„nie ma dowodów". Wiele kobiet musiało mierzyć się z doświadczeniem powrotu do ojczyzny i patrzeć na tych samych mężczyzn, którzy je gwałcili.

Autorka unika jednak generalizacji i przedstawia także tych mężczyzn, którzy zrobili wiele dobrego, ryzykując przy tym życie swoje i swoich rodzin. Takim mężczyzną jest Shrim, pszczelarz z Iraku, który zdołał uratować trzysta sześćdziesiąt siedem kobiet i dziewcząt – kierował operacjami ratunkowymi, płacił kierowcom i handlarzom papierosów, by ci mogli przewieść dziewczęta z niewoli do bezpiecznych kryjówek:

> Na Bliskim Wschodzie, kiedy komuś rodzi się syn, urządza się przyjęcia, są śpiewy, ludzie przynoszą słodycze. Lecz jeśli to dziewczynka, nie robi się nic. A kiedy dziewczyna dorasta i wychodzi za mąż, nie ma własnego zdania, własnych pomysłów, powtarza to, co mówi jej rodzina. Ale hodując pszczoły, widziałem, jak dobrze funkcjonuje ich społeczeństwo z królową w centrum i zastanawiałem się, dlaczego nasz świat miałby być inny. Zacząłem więc szukać informacji o różnych krajach na świecie, w których rządzą kobiety. A kiedy przyszło ISIS i zaczęło zabijać i porywać nasze dziewczyny, postanowiłem coś zrobić (s. 281-282).

Kolejnym mężczyzną, który poświęcił swoje życie, by pomagać kobietom i dzieciom jest Denis Mukwege, laureat Pokojowej Nagrody Nobla (2018; wraz z Nadią Murad), ginekolog, pracujący w szpitalu Panzi w Demokratycznej Republice Konga. W ciągu dwudziestu lat istnienia szpitala leczono w nim ponad pięć tysięcy ofiar gwałtów, w tym siedmiomiesięczną (!) Chantal („[…] ludzie wierzą, że gwałcenie dzieci daje im specjalne moce" (s. 359), powiedziała matka dziewczynki). Doktor tłumaczył mechanizm gwałtu wojennego, który nie ma w sobie nic seksualnego, a jest jedynie sposobem na zniszczenie drugiej osoby, na odebranie poczucia człowieczeństwa – to celowa strategia, by upokorzyć kobietę na oczach męża, a tym samym okryć ją wstydem, by musiała uciec z danego miejsca, co dalej prowadzi do całkowitego zniszczenia społeczności (s. 356). Lamb przywołuje także słowa Ministra Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii Williama Hague: „[…] te zbrodnie popełniają niemal wyłącznie mężczyźni, jak można tę sprawę rozwiązać bez męskiego przywództwa? Jeśli stanowisz dziewięćdziesiąt dziewięć procent problemu, musisz być pięćdziesięcioma procentami rozwiązania" (s. 451).

Wszystkie przedstawione przez reporterkę głosy składają się na niewyobrażalnie przerażającą genealogię kobiet[4] „Istnieje genealogia kobiet, w naszej rodzinie: mamy

[4] „Istnieje genealogia kobiet, w naszej rodzinie: mamy matkę, babkę, prababkę po linii matki oraz córki. Na wygnaniu, w rodzinie ojcowsko-mężowskiej, zapominamy trochę o swoistości tej kobiecej genealogii, a nawet jesteśmy doprowadzane do wyparcia się jej. Spróbujmy umieścić się w tej kobiecej genealogii, aby

matkę, babkę, prababkę po linii matki oraz córki. Na wygnaniu, w rodzinie ojcowsko-mężowskiej, zapominamy trochę o swoistości tej kobiecej genealogii, a nawet jesteśmy doprowadzane do wyparcia się jej. Spróbujmy umieścić się w tej kobiecej genealogii, aby zdobyć i ochronić naszą tożsamość. Nie zapominajmy także, że mamy już historię, że niektóre kobiety, nawet jeśli było to kulturowo trudne, już zaznaczyły się w historii i że zbyt często ich nie znamy". L. Irigaray, Ciało-w-ciało z matką, przeł. A. Araszkiewicz, Kraków 2000, s. 20.]. Genealogia ta została naznaczona milczeniem i… winą. Wspólnym mianownikiem tej genealogii jest gwałt – bowiem każda z tych kobiet (babek, matek, córek) albo doświadczyła gwałtu, albo widziała go, urodziła się z niego albo nosi go w sobie pokoleniowo. Wiele kobiet zmagało się nie tylko z traumą, obrażeniami fizycznymi i psychicznymi, ale także z odrzuceniem przez własną społeczność, nierzadko również rodzinę i najbliższych sobie ludzi – rodziny, mężów, dzieci. Wiele z nich nigdy nie przyznało i najpewniej nie przyzna się do swoich doświadczeń. Te, które zdecydowały się opowiedzieć o tym, co je spotkało często zderzały się z systemem, który je ignorował (ignoruje), umniejszał (umniejsza) ich udział w wojnie, odrzucał (odrzuca) ich świadectwo. Jak pisze Lamb:

> Kiedy jednak człowiek patrzy na to, jak długo ciągną się procesy o gwałt i jak niewiele jest wyroków skazujących, trudno pozbyć się wrażenia, że chodzi tu o coś jeszcze – że rząd uważa gwałt wojenny za coś mało poważnego. Potrzebne są wola polityczna i uznanie istotności tej kwestii przez każdego politycznego lidera, bez względu na pochodzenie etniczne (s. 222).

Kobiety milczą. Odzyskanie własnego głosu przychodzi z trudnością, zwłaszcza wtedy, kiedy zostało im odebrane wszystko, a ich osobowość jest zdezintegrowana. Wiele kobiet nigdy nie dochodzi do siebie. Cierpią w milczeniu, przepojone strachem. Nie ma śladu po ich bólu, jakby nigdy nie istniał, jakby nigdy się nie wydarzył. Lamb spisuje historie, które poznała, by już nikt nigdy nie mógł powiedzieć: „Ja nie wiedziałem/nie wiedziałam", „nie ma dowodów" lub, co wyjątkowo obrzydliwe, obwinić je same: „Gwałt jest jedyną zbrodnią, w której przypadku społeczeństwo częściej stygmatyzuje [ofiarę], niż karze sprawcę" (s. 456).

Reportaż napisany przez Lamb wręcz krzyczy. To tysiące głosów, które zostały wysłuchane, i jeszcze więcej tych, które nie mogły (nie mogą) się odezwać. Każda spisana

---

zdobyć i ochronić naszą tożsamość. Nie zapominajmy także, że mamy już historię, że niektóre kobiety, nawet jeśli było to kulturowo trudne, już zaznaczyły się w historii i że zbyt często ich nie znamy". L. Irigaray, Ciało-w-ciało z matką, przeł. A. Araszkiewicz, Kraków 2000, s. 20.

przez nią historia, mężczyzny czy kobiety, to akt niezwykłego heroizmu i siły, który ukazuje nie tylko wytrwałość, ale i brutalną rzeczywistość, w której ocalałe musiały się odnaleźć. Żaden z gwałtów nie skończył się w momencie uwolnienia od oprawcy – to, co się wydarzyło, zostaje w ciele – nie tylko w sensie fizycznym. Kobiety mówią, że nie da się zapomnieć tego strachu i wstydu.

Genealogia kobiecego milczenia i kobiecego krzyku sięga od starożytności do czasów dzisiejszych. Te historie trzeba poznać, by nikt nie mógł już odwrócić wzroku – gwałty wojenne nie są problemem lokalnym, lecz globalnym. Nie można już odwrócić wzroku od tych historii, bo to tak, jakby na nie pozwolić, jakby trzeba było się z nimi pogodzić, przejść nad nimi do normalności. Lamb przypomina opowieść spisaną przez Owidiusza:

> Filomela była ateńską księżniczką zgwałconą przez swojego szwagra Tereusa, króla Tracji, który następnie obciął jej język, żeby nie opowiedziała światu o jego zbrodni. Filomela tka gobelin, na którym wyszywa całą historię, i wysyła go swojej siostrze Prokne, a ta w rezultacie zabija własnego syna, którego miała z Tereusem, i podaje mężowi w potrawce. Siostry uciekają, a bogowie zamieniają Prokne w jaskółkę, a Filomelę w słowika – ptaka, którego samica nie śpiewa (s. 429-430).

Przerwanie milczenia, na które kobiety zostały skazane, jest pierwszym krokiem do zmiany, do odzyskania głosu – oraz historii. Nasze ciała, ich pole bitwy to wstrząsająca lektura, ale lektura niezbędna do zmiany postrzegania gwałtów wojennych. Lamb, pisząc reportaż i mijając pomniki upamiętniające wojny zastanawiała się, dlaczego nie widzi tam nazwisk kobiet – więc Nasze ciała, ich pole bitwy stało się pomnikiem, z tą różnicą, że nie zatrze go czas, nie da się go wyburzyć ani przestawić. Istnieje. Jest dowodem. Warto więc pamiętać, że: „Kobiety nie są jedynie biernymi świadkami historii. Pora przestać opowiadać tylko połowę dziejów" (s. 21). Jezydki, dziewczęta porwane przez Boko Haram, Nigeryjki, ludność Rohingya, Banglijki, Bośniaczki, Tutsi, Rwandyjki, Argentynki, Kongijki, Filipinki, Syryjki, Irakijki… – Nasze ciała, ich pole bitwy jest ich pomnikiem. I każdego innego kobiecego głosu, nawet tego uwięzionego w gardle.

ROZMOWY NA STRONIE

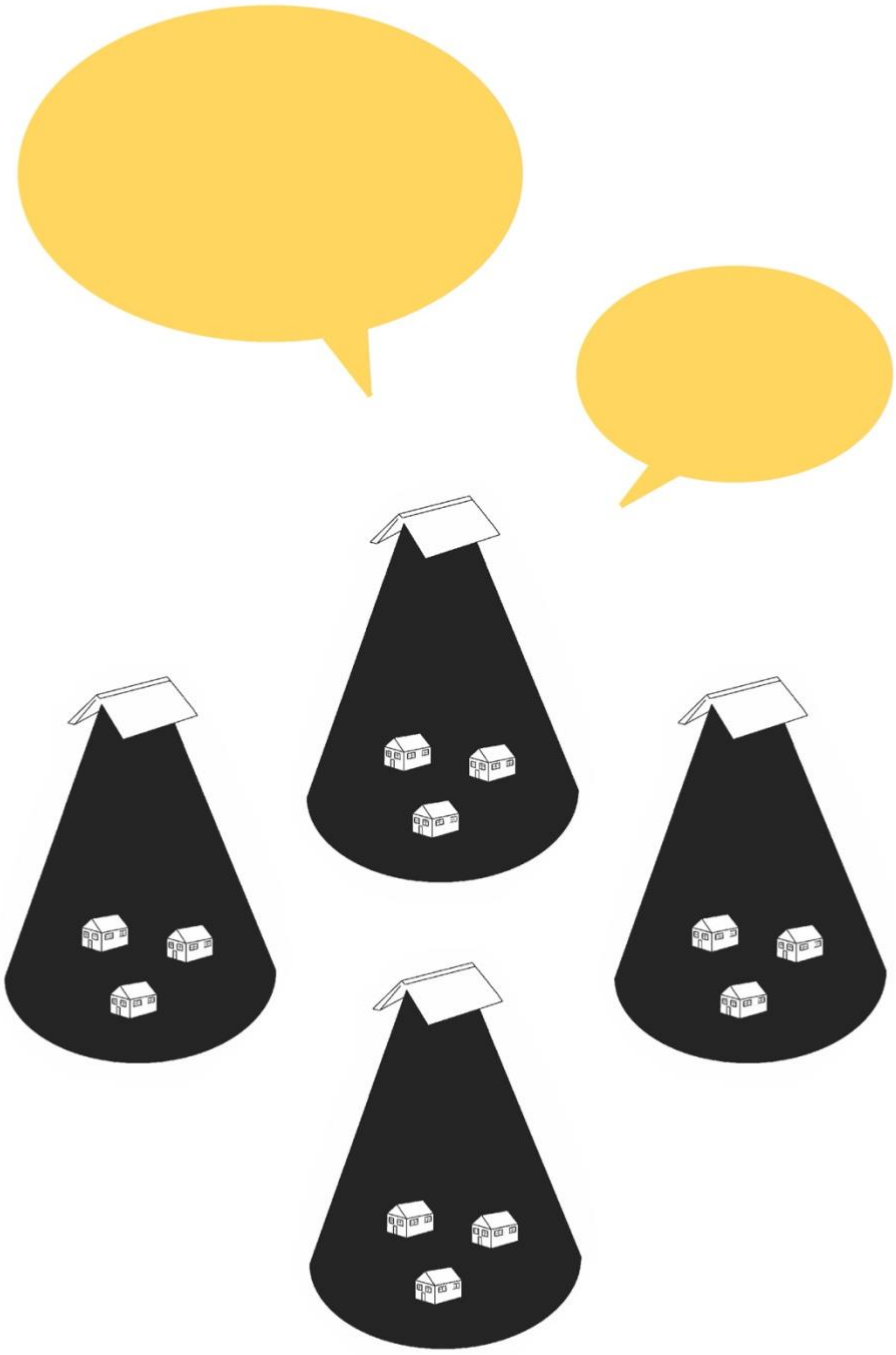

***Giętkie cząstki techno i grudki ziemi*. Rozmowa Patrycji Sikory z Martą Szumną-Mitek i Kamilem Kawalcem**

PS: „Wiersz jest brudem" czy pachnie oliwką Bambino? Jakie są Wasze wiersze?

MM: Wiersz pachnie tak, jak czytelni(cz)k(a) wywącha. Wolałabym nie nadawać im cech olfaktorycznych – wystarczy, że je napisałam. Idźcie, sprawdźcie, napiszcie mi, czym tu wam czuć.

KK: Żadnym, a zarazem oboma naraz. A tak w ogóle, to najpierw są cząstką, która wchodzi w interakcje z innymi pobliskimi cząstkami i z tej reakcji tworzona jest energia. Ta z kolei wpływa na znajdujące się w otoczeniu substancje, materiały, ingeruje w ich czas, rozciągliwość, giętkość, głębokość, miękkość, prędkość… Nie ma żadnej energii. Są tylko konotacje, asocjacje i „inne grube akcje".

PS: Czy Wasze książki to zaplanowane koncepty czy raczej pchli targ?

MM: Należę do teamu cluttercore. Prawda: czasami zazdroszczę innym konceptów, projektów i słów kluczowych, bo to ładnie spina twórczość, ale cóż – oddaję kontrolę sile piszącej.

KK: *Wieża gabba* to plątanina kopnięć, skoków, rytmu i miejskiej życióweczki. Kiedyś w Domu Literatury we Wrocławiu brałem udział w spotkaniu autorskim z Rafałem Wosiem wokół jego książki „To nie jest kraj dla pracowników". Pamiętam, że po spotkaniu zapytałem go, czy może podać jakiś jeden cel, konkretne zastosowanie tej książki, na co odpowiedział, że jest to „podręcznik samoobrony przed ekscesami kapitalizmu". Tym samym pomyślałem, że w celach roboczych powinienem przybrać jakiś statement i stało się nim, że *Wieża*... to książka do czytania przed pójściem do klubu. Pracę nad zestawem zacząłem około dwa lata temu. Wtedy jeszcze z innym tytułem. Koncept był taki, żeby skupić się na fizyce kwantowej, science fiction i próbie organizacji wierszy wokół kwantów w roli zmyślonych przekaźników znaczeń. Zdecydowałem jednak, że nigdy nie wygrzebię się z tego pomysłu, bo po drodze musiałbym chyba skończyć doktorat z fizyki (śmiech). No więc przekręciłem projekt w strukturę tętniącą acid techno z echami

energetycznymi. Mam wrażenie, że dzięki temu łatwiej poruszać się po książce i po rejestrach, jakimi operuję. Zależy mi na egalitarnym odbiorze poezji plus wydaje mi się, że uproszczenie, czyli otrząśnięcie się ze zbędności w wierszach, daje większą możliwość skupienia uwagi czytelnika na konkretnych punktach, obrazach czy połączeniach. Finalnie pozostaje ruch i chyba on w pewnym sensie najwyraźniej organizuje wieżę.

PS: Co jest Wam potrzebne do pisania wierszy? Jakieś specjalne miejsce, obecność osób/przedmiotów, cichy zaułek solo?

MM: Namiastka spokoju ducha (?). Wróciłam do pisania wierszy po tym, jak nieco wyczyściłam swój dysk wewnętrzny. Jakoś nie idzie mi tworzenie, kiedy gapi się na mnie otchłań. ¯_(ツ)_/¯

KK: Totalnie niecichy zaułek. Na przykład wiele z fraz, które można znaleźć w wieży, powstało w klubie. Lubię wykorzystywać rzeczy zasłyszane, przesłyszane. Czasem, gdy w techno pojawiają się wokale, to zlewają się one w jeden głos, który mówi jedno konkretne słowo, po czym w chwili rozproszenia uwagi znów staje się on zwykłym zaśpiewem – AaaAeee.

PS: Co Was stymuluje do pisania?

MM: Ten uczuć, gdy nazbiera się za dużo słów i potrzeby rozpoznania. Nadzieja, że dzielenie się dodaje. Frajda z czasu, który przebimbałam nad notesem i wersami.

KK: Kiedyś prędkość, ruch, jakiś kulawy koncept, w którym można by sobie wyobrazić paralelny stan rzeczy. W ostatnim czasie staram się trochę przechytrzyć swoje dotychczasowe bodźce, którymi były stany oderwania, przesłyszenia, przewrotność na rzecz jakiegoś kontrapunktu? Nie wiem, czy dobrze to sobie tłumaczę, bo jest to dla mnie dosyć duże osobiste wyzwanie. Jednak czuję, że jest mi ono potrzebne, żeby wygrzebać się z rejestru na przyszłość.

PS: Jakie są Wasze (nie tylko literackie) inspiracje?

MM: Żeby nie wymieniać pół świata ożywionego i nie, polecę personaliami. Niesamowite baby (nazwa robocza), m.in. Tove Ditlevsen i Jansson, FKA twigs, Chloé Zhao, Courtney Dauwalter, Camilla Engström. Albo miękkie outsiderstwo, przykładowo w wykonaniu Kae Tempest czy Joe Pery. Oraz wszyscy ci dobrzy ludzie tworzący, których mam szczęście spotkać.

KK: To jest chyba dla mnie najstraszniejsze pytanie (śmiech). Zawsze chciałem, żeby inspiracje wychodziły ze mnie bez potrzeby ich omawiania. No, ale nie wiem, czy to jest możliwe. Generalnie inspiracje można podzielić na te do książki, inspiracje ogólne, projekcje inspiracji i inspiracje niespełnione. Np. z tej ostatniej kategorii mógłbym spokojnie wymienić Pynchona. Z przedostatniej film *Las Vegas Parano*. W drugą wrzuciłbym vibe, po prostu jako wibracje i coś bez czego nie ma opcji. Za to w pierwszym wypadku będą to acid, ruch, rytm, techno, prędkość, wolność, kable, języki, znaczenia, konsonanse...

PS: W swoich wierszach operujecie m.in. rekwizytami z popkultury, to często wielopoziomowe nawiązania społeczno-polityczno-ekonomiczne, ale oczywiście nie tylko. Zdarza się, że przetwarzacie to, co zasłyszane np. na ulicy lub gdzieś w obiegu? Zabieracie sobie czasami frazy z chodnika?

MM: Podejrzewam, że większość z nas uprawia jakąś formę słownego upcyklingu. Notatek mam po kokardę. Jeśli coś we mnie pracuje, to przywłaszczam albo odnajduję podobne do „swoich" frazy gdzie indziej. Badam (sobie) grunt i nie gardzę cudzym kamulcem.

KK: Sir, yes, Sir!

PS: Czy czytaliście ostatnio coś, co było dla Was odświeżające, zaskakujące?

MM: Odświeżająca (a jednocześnie mi bliska) jest perspektywa tworzenia jako efektu ubocznego życia, o której mówi Marta Grunwald w rozmowie z Moniką Glosowitz („Papier w Dole", nr 1/2022). W wywiadzie mowa również o niepisaniu/twórczości w formie innej

niż pisemna, ale np. satysfakcji z budowania domu. Na marginesie lektury „Koali" Lukasa Bärfussa ostatnio sporo myślę o tym, jaką wartość ma wycofywanie się z aktywności oraz nieproduktywność.

*Trzeba przyznać, że powyższe rozkminki nie pomagają przy towarzyszącym debiutowi syndromie oszustki.

KK: Andrzej Szpindler i jego „Źrebię puchacza i tabloidu".

PS: Czy w ramach nagrody pocieszenia warto wylądować w wieży gabba?

MM: Jeszcze jak, ale tylko z zapasem chałki. Jeśli warto, to jest wszystko w porządku i niech się to trzyma. Dobry przekaz leci!

KK: Jeśli komuś zależy na przetransponowaniu sensów do zmiennych częstotliwości, to jak najbardziej!

STRONA WOLNA

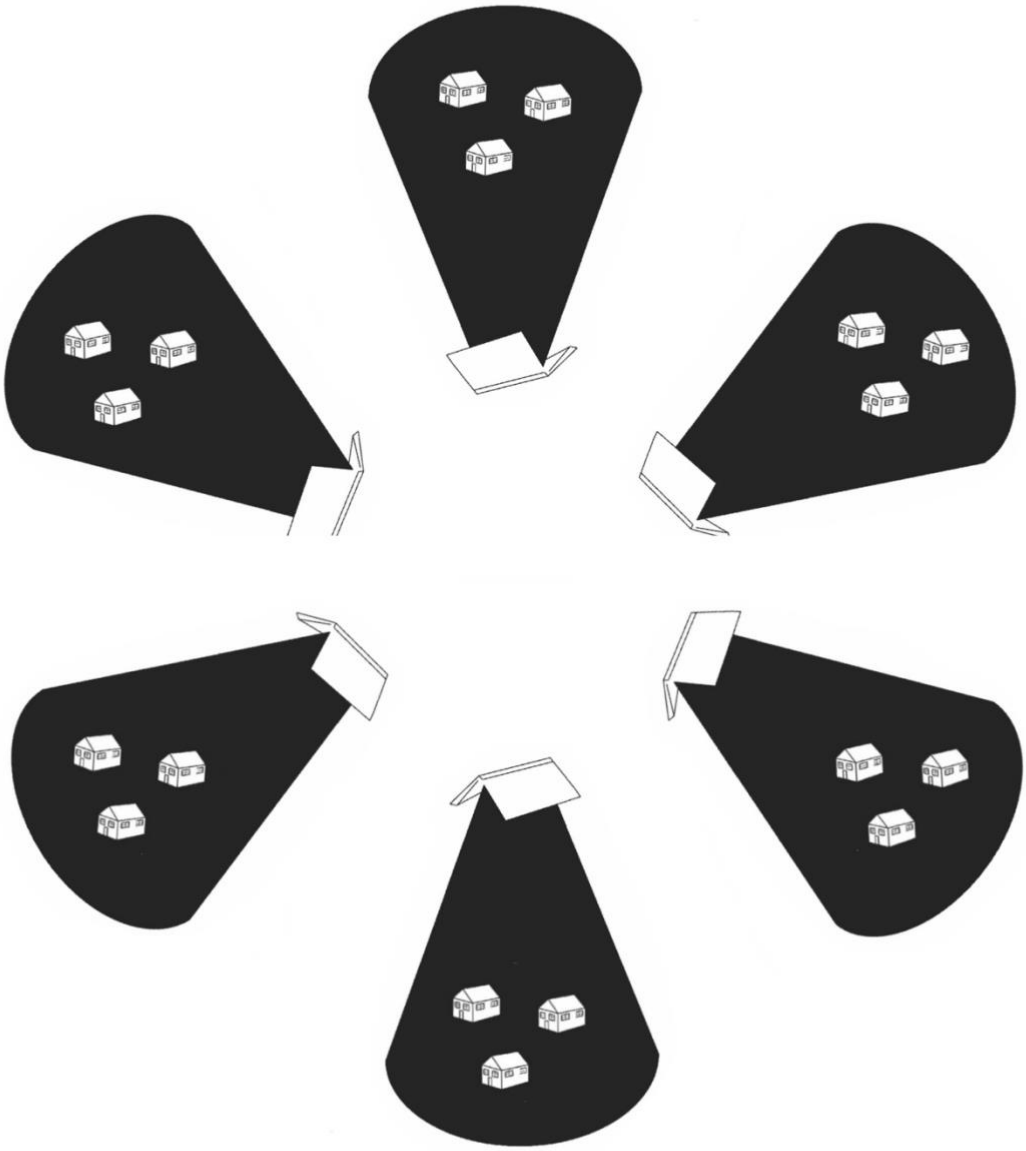

Monika Błaszków

Urodziła się w 1990 r. w Katowicach. Absolwentka historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, studentka twórczego pisania i marketingu wydawniczego na Uniwersytecie Śląskim. Początkująca pisarka, która uwielbia eksperymenty literackie. Do działania napędza ją kawa i absurdy codzienności. W wolnych chwilach paraduje w strojach historycznych.

Czynny wampir

Otwieram oko pod stropem z betonu, w podziemnym mrowisku dla martwej królowej, która patrzy pudrowo dawnymi zdobyczami, a sznury pereł zdobią jej kościstą szyję. Jej imię sięga Paryża, sini się ołowiem na starych portretach, a tutaj tylko schnie jak sparciała gąbka, cała umoczona we krwi naszych przodków. Senna, biała diwa co tańczy teraz sama, ściśnięta gorsetem z kości i szarych, mdłych popiołów. Bez adoratorów, ale z naśladowcą, który latami uczył się od niej jak dławić, będąc niezauważonym, nowe, młode życie

i jak po tym myć ręce.

Trwam tak tutaj, wierny, od stuleci paru, z twarzą woskową bez wieku i marzeń, a patrzę stepowo, szeroko i bystro. Z tradycją za plecami, bez zbędnych słów i czynów, ja, nadzorca-manekin, szkolony latami, co przewierca kolana i świeci lampą w oczy. Z tych lamp i kolan tworzę postumenty. Potem ten postument niesie jakieś cielsko, kolejne mordy znaczy literami, a ja w lodowej trumnie, w zmarzlinie, nie mam z tym nic kompletnie wspólnego. Nie mam emocji i niczego nie muszę

i podziemnymi nitkami płynie do mnie krew.

Spuszczam pled na kolana, zamieram w powadze, a miarowy stukot obcasów-klonów, na moją chwałę dudni betonami, po ziemi, którą wyssałem z posoki i marzeń. Bryłami czerni z głębin gwałcę masy, ze złotym krzyżem na ustach i nad głową, rozszerzam szponami stare linie mapy, w koronie, z jajkiem z perłowej masy, okuty w bursztyn, śmierdzący metanem, płonę z czerwoną gwiazdą na czole. Białą peruką wypełniam traktaty, żelazną drogą pędzę ku Wschodowi, stopami postępu gniotę mistrzów jeździectwa, pętając ich ręce białymi sznurkami

i strzelam w tył głowy.

Nieśmiertelny jak wampir, chłodny jak wampir, odziany w biały aksamit wielbię Boga milionem świec. Tylko Jego mogę umieścić nad sobą, z brodatym mędrcem i basowym śpiewem, z babcią w chuście w kwiaty i z ikonami. To przez Niego płyną do mnie soki świata, czerwone jak drogie zbroje krucjatowe, delikatne jak dziecko zmiażdżone na bruku. To z nich właśnie składam te wszystkie złote czapy, świecące nad rzędami cegieł, z nich skuwam biały kadłub z morskością przepychu, sunący przez ocean

i zespala go ołów.

STRZAŁ!

Niech sny upadają, ja tego nie słucham. Nie wychodzą z cielska żadnego narodu. Należy się wręcz przed nimi bronić, bo nigdy nie wolno samemu atakować. Jestem statyczny jak moja matka, co trwała bez ruchu przez tysiąc lat dojrzewania. Krew skapuje mi tylko na brodę, tak jak wówczas, w tej małej wiosce, gdzie pod wierzbami biegało się nago po żwirze. Gnałem w upale, a z tyłu wrzaski: „Wowa!”

i świszczał w powietrzu bydlęcy pas.

Od tego czasu to ja ganiam stada. Niech lecą na nie mury, zgniatają im ciała, niech płoną im nad głową czerwone sztandary, niech gniją im nogi i wypadają zęby. Chcę mnożyć, jak dawniej, maski woskowe, rozstawiać sterty trupów, domina ciał pod drzewem, bez oczu, bez nóg i bez twarzy. Założę im potem dwie teczki, albo wcale. Sprasują się sami kanapką po rowach. Przeplotą się ich palce z robactwem plus buty. Ten zabieg wzmacnia ziemię i rozszerza tereny – wysysasz jedno życie, zasadzasz jakieś drugie. Tym razem od nowa, czysto, na własnych zasadach, bez niedociętych końcówek, krótkich serii, piątej kolumny i makijażu. Bez futer z Paryża i obcych satelitów, zepsucia colą

i bez inteligencji.

Całe mrowie masek z wątłymi żyłami, formowanych na mój obraz i podobieństwo, na chwałę biernej matki i betonowego płaszcza, złota, pereł, tortur, węgla, rud i zboża. Z jedynym słusznym rozumieniem barszczu. Bez pytań gdzie jest władca, wmurowany w bunkier na wieczny sen woskowy, z drżącymi nogami, cielskiem w szklanej klatce, w mauzoleum

i pod czerwonym placem, w który wsiąka krew.

STRONA CZYNNA

czynna.com